ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh.

ROK VIII. Nr 12/352

LONDYN, 21 MARCA 1954 R.

ZOFIA ROMANOWICZOWA

„IDY MARCOWE" KOŚCIOŁA FRANCUSKIEGO

Dnia pierwszego marca minął termin, wyznaczony przez biskupów francuskich księżom-robotnikom na uwolnienie się od wszelkich obowiązków „doczesnych", syndykalnych i fabrycznych i ograniczenie czasu pracy do trzech godzin dziennie. Jeżeli ktoś spodziewał się, że dzienniki, tropiące sprawę księży-robotników w sposób nieraz równie bezceremonialny, jak by to był przebieg sensacyjnej rozprawy kryminalnej, podadzą pod tą datą jakieś wstrząsające tytuły w rodzaju „bunt apostołów" czy coś równie korzystnie wpłynąć mogącego na rozprzedaż nakładu, ten się pomylił. Wiadomości z kancelarii biskupich nie przenikają tak łatwo do prasy, a zresztą większość listów księży-robotników, zawierająca ich deklarację lub wypowiedzenie posłuszeństwa mogła jeszcze w ogóle nie dojść do rąk przełożonych. Wszystko wskazuje jednak na to, że żadnych sensacyjnych „odstępstw" nie będzie i że znakomita większość księży-robotników podda się rozkazom Kościoła.

Przez ostatnie dwa miesiące zebraniom i konferencjom na temat apostolstwa robotniczego nie było końca. W pewnym momencie drukowany na powielaczu i rozesłany po redakcjach protest, podpisany przez 73 spośród tych księży, zaalarmował opinię katolicką. Protest ten utrzymany był w tonie bardzo gwałtownym, miejscami przypominającym, niestety, deklaracje o innym całkiem charakterze. Między innymi protest ten mówił: „Decyzja ta... powołuje się na motywy religijnej natury. Nie sądzimy jednak, aby robotniczy tryb życia przeszkodził nam kiedykolwiek w pozostaniu przy naszej wierze i naszym kapłaństwie. Nie pojmujemy jak można w imię Ewangelii zabraniać księżom, by dzielili warunki życia milionów uciśnionych i solidaryzowali się z nimi w walce."

Wspomniawszy o „donosach i naciskach wychodzących ze środowisk, które zwykły posługiwać się religią w celach własnych i dla przesądów klasowych" oraz że wprowadzenie w czyn deklaracji biskupiej mogłoby „zmącić sumienia chrześcijan zaangażowanych w walce klasy robotniczej i to w chwili, kiedy tyle wysiłków zmierza do odciągnęcia ich od wspólnych zmagań i skompromitowania ich wiary", księża-robotnicy żądają dla siebie i dla wszystkich chrześcijan „prawa do solidaryzowania się z robotnikami w ich sprawiedliwej walce".

„Działacze robotniczy i klasa robotnicza obdarzyła zaufaniem księży-robotników i uszanowała ich kapłaństwo. Ten szacunek i ta ufność, które okazują nam nadal, wzbraniają nam pójść na wszelki kompromis, który by sądzić dawał, że można pozostać w klasie robotniczej nie pracując normalnie i uchylając się od obowiązków i odpowiedzialności robotniczych. Klasie robotniczej zbędni są ludzie, którzy „chylą się nad jej nędzą", jej potrzeba takich, co dzielą jej walki i jej nadzieje".

Ostatnie zdanie pokrywa się ze słowami księdza Loew, dokera z Marsylii: „Trzeba umieć udowodnić, że jeżeli mówimy wieczorem o Bogu, to nie z kapłańskiego fachu i dla zdobycia chleba powszedniego, ale że robimy to po to, aby coś ludziom dać."

Wydaje się jednak, że gwałtowność tej deklaracji była raczej wyrazem cierpienia ludzi, którzy w jednej chwili zobaczyli dzieło swego życia potępionym, niż naprawdę jakieś zarodki rewolty. Co dziwić się samym księżom, skoro François Mauriac, nie zaangażowany przecież tak osobiście jak oni w robotniczym apostolstwie, posunął się jednak troszkę za daleko, wołając w jednym ze swoich felietonów o nowy konkordat, który by uniezależnił w pewnym stopniu Kościół Francji od decyzji Watykanu. Chodziło mu głównie o zmiany i przesunięcia personalne u dominikanów. „Całe przednie skrzydło Kościoła Francji ugodzone jest boleśnie; trzeba, aby rzymskie Kongregacje wiedziały o tym. Nie mogły zresztą nie wiedzieć, że księża-robotnicy stali się nieodłączną częścią proletariatu robotniczego, że włączyli się weń jako kapłani i jako świadkowie Chrystusa i Kościoła. Trzeba zaś odkryć Rzymowi drugą prawdę: że we Francji młode apostolstwo świeckie, które było wielką ideą Piusa XI, uformowane zostało po większej części przez zakon świętego Dominika: **„Sept"** i **„Temps Présent"** dawniej, dzisiaj **„La Vie Intellectuelle"** i **„Editions du Cerf"** stanowią żywe źródło, do którego całe pokolenie przychodziło czerpać wiarę. Że trafiały się posunięcia nierozważne, ryzykowne, zgoda. Pod niektórymi względami apostolstwo dominikańskie mogło drażnić... Dziś jednak, gdy ugodzono ich najwybitniejszych teologów, widzimy lepiej, co wcielał Zakon pośród nas: duch dominikański, to duch wolności w łonie Kościoła, to ściślej łączności ze Stolicą Piotrową." I jeszcze... „Godzić we Francji w synów Ojca Lacordaire... znaczy to samo, co wysadzić dynamitem jedną z naszych katedr."

Nie codzień spotkać można czołowego pisarza katolickiego jakiegoś kraju, rzucającego myśl nawiązania konkordatu jedynie w tym celu, aby przestał istnieć stan rzeczy, w którym: „...Nuncjusz apostolski w Paryżu nie jest dyplomatycznym wysłannikiem jak inni, ale... na francuskiej ziemi cieszy się większą władzą niż którykolwiek z członków rządu... Konkordatu tego, który Trzecia Republika zerwała, czyżby Czwarta Republika nie miała korzyści odnowić w interesie Kościoła i Francji, przystosowując go do wymagań naszej epoki? Rzucam myśl. Jednego jednak pewien jestem, że gdyby obecna ofensywa miała posuwać się dalej, nie bacząc na żadne względy należne świętemu Kościołowi Francji, który jest mistrzem i wzorem wszystkich innych w filozofii, w teologii, jak i w apostolacie robotniczym, cały naród poczułby się ugodzony w osobach najlepszych swych synów..."

Artykuł Mauriaca odbił się głośnym echem w prasie całego świata, budząc rozmaite pogłoski na temat separatystycznych dążeń Kościoła Francji. Ale już w pierwszych słowach następnego swego felietonu zaznaczył Mauriac, że tytuł: „O odnowienie konkordatu" zaopatrzony był, w jego intencji, znakiem zapytania. Tym razem tytuł felietonu brzmiał: „Gdy nie było Ojca", czyniąc aluzję do choroby Ojca św., w czasie której zapadła decyzja o losach księży-robotników. Była to więc próba wycofania się ze zbyt pochopnie zajętego stanowiska.

Co najbardziej uderza, o konkordat wołał Francuz raczej niż katolik, a odwołanie księży-robotników mocniej szarpnęło strunę dumy narodowej, niż religijny i społeczny aspekt zagadnienia.

Ogół prasy katolickiej francuskiej nie poszedł jednak za Mauriakiem. O. Emile Gabel w dzienniku **„La Croix"** zanalizowawszy stosunek Kościoła i Państwa, dochodzi do wniosku, że „katolicy, a zwłaszcza katolicy francuscy, zawsze znać będą to rozdarcie pomiędzy wolnością a posłuszeństwem, tworzeniem a tradycją, inicjatywą osobistą i autorytetem." W każdym razie, na tle ogólnej sytuacji światowej, a także na tle demokratycznych igraszek rządów Francji, apel do ministra spraw zagranicznych, by się bronił przed nuncjuszem papieskim, jest raczej czymś oryginalnym.

Deklaracja księży robotników i pierwszy felieton Mauriaca mieszczą się w rzędzie najskrajniejszych reakcji na decyzję przywiezioną z Rzymu. W innym liście otwartym, skierowanym na ręce kardynała Feltina, a podpisanym przez około trzydziestu misjonarzy robotniczych, przebija raczej żal niż bunt. W tonie pełnym szacunku ubolewają oni nad tym, że się ich jakby wyparto, że podano w wątpliwość ich kapłaństwo. Kardynał Suhard przyznał im pewne przywileje, a teraz zarzuca im się to, że z nich korzystali, wymaga się od nich, by się wyparli tego, ku czemu zostali posłani. Jakże się oprzeć uczuciu, że się zostało zdradzonym, oszukanym?

Już wcześniej, w pierwszej połowie lutego, prowincjałowie dominikanów w Paryżu, Marsylii i Lyonie podali się do dymisji, którą przyjął generał zakonu. Również zastosowali się do jego nakazów ojcowie - intelektualiści, kierujący prasą dominikańską we Francji, między innymi ojciec Boisselot, dyrektor **„Editions du Cerf"**, jednego z najpoważniejszych wydawnictw religijnych w Europie. W jednym z wychodzących tam miesięczników, **„L'Actualité religieuse dans le monde"**, ojciec Boisselot ogłosił artykuł wstępny p.t. „Kim jest kapłan?", stając po stronie księży-robotników.

Oprócz głośnego felietonu Mauriaca, pięćdziesiąt wybitnych osobistości katolickich ogłosiło wspólną deklarację w związku ze zmianami wśród dominikanów. Deklaracja potwierdza, za ich przykładem, „ducha posłuszeństwa dyscyplinie i zarządzeniom Kościoła" zdając sobie sprawę, że „boleść ich ma sens jedynie w tym posłuszeństwie i przez nie", ale że „w dziedzinie swych kompetencji mają ścisły obowiązek zbadać, ocenić i podkreślić zasięg tego faktu historycznego i skutki, jakie mógłby pociągnąć za sobą dla przyszłości intelektualnej i duchowej Francji i chrześcijaństwa francuskiego i światowego".

Takie i tym podobne deklaracje, konferencje, kontakty i rozmowy, mniej lub więcej przenikające do wiadomości ogółu, wypełniły czas do „groźnych Idów marcowych", jak Mauriac określa termin, wyznaczony księżom - robotnikom. W przeddzień tych Idów kardynał Feltin ogłosił list pasterski, który ze względu na swoją ważkość postaramy się zamieścić w skrócie. Kardynał zaczyna od skonstatowania faktu, że katolicy Francji przechodzą obecnie ciężką próbę, że nawet opinia publiczna została zaniepokojona, ale, co gorsze, zamęt przeniknął do sumień. Obok tych, co tryumfują lub wykorzystują sytuację, są dusze, które cierpią. „U niektórych, pisze kardynał, mamy do czynienia z prawdziwym kryzysem wiary. Ich ufność do Kościoła została zachwiana. Na skutek świeżych decyzji, powziętych przez jego hierarchię, przypisuje się Kościołowi najmniej życzliwe intencje w stosunku do klasy robotniczej, a co więcej, w stosunku do nowoczesnej myśli i nowoczesnego świata."

„Ów kryzys wiary odbija się fatalnie wśród ludzi czynu. Księża i osoby świeckie, zaangażowane w apostolstwie lub w pracy intelektualnej, sądzą, że ruch misyjny, który powstał pod różnymi formami i w rozmaitych środowiskach, jest nieodwołalnie potępiony."

Aby objaśnić te sumienia w rozterce, kardynał zaczyna od początku, to jest od komunikatu, ogłoszonego przez kardynałów po powrocie z Rzymu 14 listopada. Deklaracja ta wywołała nieprawdopodobne komentarze. Niektórzy zrozumieli ją jako zwykłe zniesienie apostolatu wśród robotników. Tymczasem stałoby to w rażącej sprzeczności z ogólną tendencją Kościoła. Od chwili, kiedy Pius XI wielkim skandalem wieku XIX określił fakt, że Kościół stracił klasę robotniczą, nie ustały wysiłki zmierzające do jej odzyskania. Po tej linii poszedł kardynał Suhard, powołując do życia zastępy młodych i ofiarnych kapłanów, aby w szczególny sposób poświęcili się światu robotniczemu, dzieląc jego życie, jego nadzieje i jego cierpienia. Księża ci szli do świata pracy z całą wiarą, z całym zapałem i wszelkimi cnotami kapłańskimi.

Kardynał Feltin ubolewa, że prasa, chciwa sensacji, wyłuskała tych księży z cienia i wbrew ich woli wysunęła na czoło aktualności. To zdezorientowało opinię publiczną co do celów misji Kościoła. Wmieszała się w to polityka. Przedstawiano ich albo jako przebranych agentów świata kapitalistycznego, albo też, wręcz przeciwnie, jako czynniki anarchii społecznej. Prawda była bardziej skromna. Księża ci nie oczekiwali natychmiastowych plonów; a jednak praca ich nie była bez rezultatów. Nawrócenia, w pierwszym rzędzie, były tego wyrazem. A przede wszystkim świadectwo, że Kościół Chrystusa nie jest Kościołem uprzywilejowanych jedynie.

Dlaczego więc odwoływać księży-robotników? Przede wszystkim, zgodnie z brzmieniem komunikatu, nie chodzi ani o potępienie, ani o przekreślenie apostolatu kapłańskiego, a tylko o jego modyfikację. Modyfikację głęboką, to prawda, ale która jeszcze nie została ustalona. Kościół zmuszony był tych zmian zażądać, gdyż zaszła obawa odchylenia od zasad i w istocie odchylenia takie miały miejsce. Chce ich uniknąć na przyszłość w trosce o czystość swej nauki. Z drugiej strony środowisko, do którego zostali posłani ci księża, wymagałoby głębokiego przygotowania natury teologicznej, duchowej, ekonomicznej i społecznej, co w powojennych warunkach pierwszych misji nie było możliwe do zrealizowania.

Tutaj arcybiskup Paryża omówił problem zobowiązań świeckich, jakie księża ci zmuszeni byli wziąć na siebie. Zdobywszy zaufanie towarzyszy pracy, kolejno przyjmowali ofiarowane im role doradców, rozjemców, a wreszcie, krok dalej, działaczy lub przywódców syndykalnych. Odrzucić to ryzyko, czyż nie znaczyło to w pewnych, konkretnych sytuacjach, wyłamać się ze wspólnoty, tak ciężko zdobytej? Niektórych zawiodła ta droga dalej niż myśleli i powoli dali pierwszeństwo działalności świeckiej nad obowiązkami kapłańskimi. Papież i biskupi, rozumiejąc ich sytuację, mieli jednak obowiązek zakreślić granice tej solidarności.

„Ale jeżeli pracę fizyczną można pogodzić z charakterem kapłaństwa — jak tego dowiedli zakonnicy oraz inni księża — sofizmatem byłoby chcieć utożsamić kapłaństwo ze stanem robotniczym... Kiedy głęboko pogrążony w ludzkich sprawach, kapłan jest i pozostanie nawet wtedy samotnym, poświęconym, pośredniczącym, człowiekiem Boga."

Decyzja Kościoła powzięta została nie dla racji politycznych, ale doktrynalnych i pasterskich. Powodowała Kościołem miłość do tych księży, chęć, by ratować w nich prymat pierwiastka duchowego. Lecz także powodem była i miłość dla klasy robotniczej, chęć, by zanieść jej Ewangelię wolną od wszelkich domieszek. Zarządzenia te mają na celu utrzymać misję w jej pierwotnych ramach.

Kardynał Feltin odpowiedział także tym, którzy dla własnej obrony powołują się na zmarłego kard. Suhard. Zakładając misje robotnicze, kardynał miał na celu ewangelizację klasy robotniczej przez księży, którzy dzięki promieniowaniu duchowemu swego kapłaństwa uzupełniliby działalność ludzi świeckich. Ale już w 1949 roku pisał kardynał: „Wielką może stanowić pokusę dla księdza podjąć się funkcji, które doń nie należą i do których tylko świeccy mają łaskę stanu. Musi oprzeć się temu, nawet gdyby miało to zmniejszyć bezpośrednią „skuteczność" jego pracy. Rolą jego właściwą nie jest bowiem w żadnej mierze zawiadywać sprawami doczesnymi..."

Nigdy, w żadnym razie, kardynał Suhard nie był zdania, że aby głosić Ewangelię, czekać trzeba najpierw zmiany struktury ekonomicznej lub społecznej.

Jak w tej sytuacji ma się zachować katolik francuski? Przede wszystkim nie szukać wyjaśnienia ostatnich zdarzeń w rzekomej różnicy zdań pomiędzy Episkopatem francuskim a Watykanem. Jedność z Kościołem i posłuszeństwo Papieżowi jest w dalszym ciągu zasadą i podstawą Kościoła Francji. Samo słowo „posłuszeństwo" budzi obecnie wszędzie odruch niechęci. A jednak nie jest to słuszne, gdyż myli się prawdziwe posłuszeństwo z jego pozorami, które zowią się tchórzostwo, bierna rezygnacja, bezczynność. Poddanie się katolików francuskich w sprawie tak bliskiej ich sercu nie ma z tymi imitacjami posłuszeństwa nic wspólnego. Musi to być posłuszeństwo nadprzyrodzone, pełne pokory i cierpliwości, nie tylko zewnętrzne, ale i wewnętrzne. Do tego pomoże wiara, że Bóg działa przez swój Kościół.

Cały Kościół ma się zresztą przemienić w jedną wielką misję. Kardynał Feltin raz jeszcze kładzie nacisk na konieczność dalszego apostolstwa. Nie tylko nie ma mowy o cofnięciu się w tył, ale przeciwnie, trzeba nowych doświadczeń, trzeba wyobraźni i nowych odkryć w dziedzinie apostolstwa. To zjednoczenie w wysiłku misyjnym musi dokonać się najpierw u kapłanów. Ale trzeba, żeby ich poparł cały ogół wierzących, bez tego nic nie da się zrobić.

W ostatnich zdaniach swojego listu kardynał Feltin rzuca wezwanie do modlitwy, aby wysiłek zbliżenia, zaczęty przez księży-robotników, nie poszedł na marne. „Tak więc, kończąc ten list, który mi dyktowała moja i wasza obawa, chcę się podzielić z wami moją ufnością... Zachowajcie wiarę w godzinie, kiedy w sumieniach odgrywa się dramat, którego rozdzierający tragizm odczuwam i podzielam. To wezwanie do spokoju, do posłuszeństwa i do ufności niech będzie przez was zrozumiane jako nieznajomość zachodzących zmian albo jako nieoczekiwana obelga zadana cierpieniu. Przeciwnie, weźcie te słowa za apel o powołania misyjne."

Listy pasterskie innych biskupów Francji utrzymane były w tym samym tonie. Miejmy nadzieję, że oliwa słów pasterskich, wylana na wzburzone fale, skutecznie wspomoże Kościół francuski w dobie „groźnych Idów marcowych".

Zofia Romanowiczowa

SED CONTRA

NASZE CZASY

Powiadam na pewnym posiedzeniu, że od księży powinno się przede wszystkim wymagać, aby byli święci; odpowiada mi na to jeden z obecnych, że święci są dziś, w naszych czasach, bez znaczenia. Czytam wczoraj znowu w „Kulturze" świetny i ciekawy artykuł, z którego wynika mniej więcej to samo: w naszych czasach moralność nie popłaca, ale machiawelizm. No i, krótko mówiąc, jest to przekonanie dość między ludźmi ogólne. Dawne, dobre czasy! Dziś, panie kochany, inaczej, inaczej, inaczej! Dawniej, męstwo i uczciwość były cenne; dziś tylko à la Hitler czy Stalin.

Bardzo się tymi opiniami początkowo zmartwiłem; bo, powiadam sobie, *vox populi, vox Dei*, a niemal wszyscy dziś tak mówią. I ze zmartwienia zacząłem oddawać się, że tak powiem, emigracji wewnętrznej, a mianowicie czytać historię średniowieczną: o Królowej Jadwidze dawne dokumenty. I wiecie Państwo, co w nich znalazłem? Pewnie nie uwierzycie, ale kropla w kroplę to samo. Jastrzębiec, Prymas Polski ówczesny, i mąż ze wszech miar znakomity, list pasterski wydał gwoli rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego Królowej; pisze w tym liście mniej więcej tak: dzisiaj, kiedy wiara i obyczaje upadają, gdy uczciwość ginie, gdy grzech i sobkostwo się panoszą w tym świecie, dziś tym bardziej... i tak dalej w kościelnym stylu — dodać zresztą warto, że w najlepszym kościelnym stylu, którego i dziś kardynał by się nie powstydził. A więc wonczas, pięćset pięćdziesiąt lat temu ludziska myśleli akurat to samo, co dziś: że mianowicie dawne czasy były uczciwe, pobożne, święte niemal — a dzisiaj, panie dzieju, tylko machiawelizm i rozpusta.

No i zauważywszy to zacząłem sobie przypominać te „dawne dobre czasy" ludzkości. A no, mówię sobie, czasy to były, tylko czy dobre, to inna sprawa. Taki Renesans na przykład. Burckhardta co prawda nie lubię, za przeinaczenie myśli ówczesnej; ale przyznać trzeba, że on fakty tej epoki dobrze znał. Proszę poczytać; proszę przyglądnąć się temu bezdennemu łajdactwu *niemal wszystkich* ówczesnych polityków; proszę zestawić sobie, ile razy oni truli gości, więzili posłów, łamali najświętsze przysięgi. Nicolo Machiavelli niczego oczywiście nie wymyślił: spisał po prostu zasady powszechnie wówczas, jak się zdaje, obowiązujące. Albo państwa bliskiego Wschodu w okresie późno-biblijnym. To przecież było łajdactwo i bandytyzm, takie, jakich Korona Polska, mimo wszystkich swoich nieszczęść, chyba nie doznała. Przypominam sobie jakie na mnie wrażenie wywarła lektura Riciottiego o czasach Chrystusa Pana — w szczególności wrażenie czystego dźwięku, jaki rzymscy gauleiterzy wnosili w ten obrzydliwy świat pospolitego świństwa. Bo ich polityka nie była takim drobnym, parszywym świństewkiem, jak owa narodów bliskiego Wschodu tej epoki; była ogromnym, na światową skalę zakrojonym świństwem, wyzyskiem i bestialstwem. Smutno powiedzieć, ale *en gros* historia pełna jest, jak to się uczenie mówi, machiawelizmu, a po prostu świństwa i grzechu. Czy zresztą tylko historia? Istnieje taki sobie pobożny zabieg zwany rachunkiem sumienia, który, przykro to stwierdzić, bardzo podobny obrazek daje o życiu prywatnym człowieka poczciwego, zwłaszcza, jeśli ten poczciwiec coś niecoś o psychoanalizie słyszał i umie się dopatrzeć *prawdziwych* pobudek swoich szlachetnych czynów.

Czy z tego wynika, żeby moralność nie miała nigdy niczego do powiedzenia? Bynajmniej. Fakty historyczne biją w twarz nie nas, ale Rousseau i innych filozoficznych trzyćwierć inteligentów, marzących o jakimś człowieku-aniele, ślepców nie widzących tego oczywistego faktu, który my chrześcijanie nazywamy grzechem pierworodnym, skażeniem ludzkiej natury. Wynika tylko, że świństwo nie jest żadną w tym świecie, niestety, nowością.

Czy wynika, że nasza epoka jest akurat tak dobra względnie zła, jak inne? I to nie wynika. W dziejach zmiany jakieś występują, i jak mnie się wydaje, kołowe; raz jest lepiej, raz gorzej. Wydaje mi się, bardzo mi się wydaje, że nasza epoka bynajmniej do lepszych się nie zalicza. Żeby tak można było Inkwizycję wprowadzić na miejsce Gestapo i Bezpieki! Cóż by to był za postęp! Żeby można było znaleźć choć jednego polityka w rodzaju, powiedzmy, Karola V czy Herakliusza! Nie, przyjemna ta epoka nie jest. Wynika jednak, że nie mamy powodu do uważania się za szczególnie pokrzywdzonych przez Opatrzność. Jest chyba gorzej niż w XIX wieku, ale lepiej niż, na przykład, we Włoszech renesansowych czy u tych starożytnych Babilończyków.

I wynika wreszcie coś bardzo ważnego: że ci co tak kraczą, to są egzemplarze postępowców *à rebours*, dzikich jakichś fatalistów a przy tym straszliwie parafiańsko myślących, nie umiejących wytknąć nosa poza ten nasz obrzydliwy XX wiek. Porzucili, co prawda, jedną wersję Postępu, że to niby jest coraz lepiej; ale za to wierzą, nie mniej mocno, w postęp ku zbydlęceniu. Wierzą nawet tak mocno, że machnęli ręką na wszystko.

Takie machanie jest teoretycznie bezpodstawne, a praktycznie grzechem. Jest wyparciem się *wiary* chrześcijańskiej. Jest kapitulacją, bezpodstawną i tchórzliwą, gorszą od tej Hachy i jemu podobnych, bo chodzi w niej nie o ten czy inny szczegół polityczny, ale po prostu o sens ludzkiego życia na ziemi.

I. M. B.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Papież przykładem w chorobie. W znanej liturgicznej modlitwie za Papieża, Deus omnium fidelium, Kościół prosi Boga, by Papież tych, którymi rządzi, budował słowem i przykładem. Obecnie w swej przedłużającej się chorobie Pius XII daje cierpiącym przykład, jak należy po chrześcijańsku znosić chorobę i cierpienia z nią związane, bo wszak choroba jest także z woli Ojca niebieskiego. Jak pisze „Osservatore Romano", choroba i cierpienie nie są dla Piusa XII nawiasem w życiu, jakkolwiek naturalnym i całkowicie zrozumiałym. Oczywiście zmuszają one Papieża do ograniczenia działalności, która zajmowała przed chorobą nie tylko całe dni, ale i wiele godzin nocnych, lecz nie potrafiły zmniejszyć mocy ducha: Papież większą część swego czasu poświęca temu wszystkiemu, co jest związane z urzędem Najwyższego Pasterza. Z łóżka uczestniczy we Mszy św. i przyjmuje Komunię św. i w te dni, w które może wstać, w swej prywatnej kaplicy nawiedza Najświętszy Sakrament rano i po południu. Medytacja, odmawianie Brewiarza, Różaniec, chwile wewnętrznego skupienia i rozpatrywanie tylu różnych problemów, które codziennie wymagają decyzji Papieża, wypełniają godziny dnia i części nocy.

Niepełna liczba kardynałów. 6 marca zmarł kardynał Massimo Massimi. W ten sposób liczba kardynałów zmniejszyła się do 69, w tym 25 Włochów. Przez przeszło rok, od stycznia 1953, kolegium kardynałów liczyło pełną liczbę 70.

Pallotyni Polacy. Przy via Pettinari w Rzymie znajduje się dom generalny pallotynów. Rektorem jego jest ks. Stanisław Suwała. Przełożonym generalnym, jak wiadomo, po ks. Turowskim, jest ks. W. Moenier. Jest to kolegium, gdzie kształci się 26 kleryków z różnych krajów. Polaków jest 6: Pietrzak Czesław z Mintigny en Gohelle, Francja, Guzewicz Zdzisław z Brześcia, Kocjan Jan z Sosnowca, Jera Jerzy z Łodzi, Hudziak Edward z Ostricourt, Francja i Kończak Jan z Gautherets, Francja.

Dom w Paryżu jest centralą wydawnictw pallotyńskich („Nasza Rodzina", „Rycerzyk", „Kalendarz Naszej Rodziny"). Jest tu 5 księży i 3 braci: księża Bemke Leon, Wędzioch Czesław, Treuchel Stefan, Tomasiński Tadeusz i Kronkowski Henryk; bracia: Kasprzak Piotr, Kędzierski Stanisław i Bąkowski Leon. W Osny znajduje się gimnazjum pallotynów już od r. 1943. Pracuje tu 7 księży i 4 braci: księża Wiater Bronisław, Pawłowski Bernard, Misiak Alojzy, Oramowski Piotr, Sumeła Szczepan, Liszewski Józef, Zegar Julian; bracia: Wszołek Ignacy, Święs Władysław, Marszałek Antoni i Majewski Stanisław. Trzeci dom we Francji znajduje się w Oignes: księża Wroński Jan i Jurkiewicz Cezary obsługują parafie polskie i kolonie polskie w Oignes, Ostricourt, Libercourt, Carvin i Courrières. Jedyny dom polskich pallotynów w Stanach Zjednoczonych znajduje się w North Tonawanda pod Buffalo. Rektorem jego jest ks. Paczek Walerian, członkowie: księża Wadowski Fr., Cegiełka Franciszek, Olszewski Ignacy i Curzydło Mieczysław.

Z prac sodalicji św. Piotra Klawera. Założona przez służebnicę Bożą Marię Teresę Ledóchowską sodalicja św. Piotra Klawera wydrukowała i wysłała do Afryki prawie 3 miliony katechizmów i książek religijnych w językach afrykańskich. Ofiary na zakup papieru, druk i wysyłkę należy przesyłać na adres: Sodality of St. Peter Claver, 3703, W. Pine Blvd., St. Louis 8. Mo., USA.

Kościół Matki Boskiej w Waszyngtonie. Jednym z dziesięciu największych kościołów świata będzie po ukończeniu świątynia ku czci Matki Najświętszej w Waszyngtonie. Kopuła będzie dwa razy tak wielka, jak bazyliki św. Marka w Wenecji. Świątynia będzie mogła pomieścić 6 tysięcy osób, a w sanktuarium będzie miejsce na ponad 200 biskupów i kilkuset księży. W roku 1846 biskupi Stanów Zjednoczonych obrali Matkę Boską Niepokalanie Poczętą za Patronkę Stanów Zjednoczonych, co w roku następnym potwierdził ówczesny papież Pius IX. Świątynia w stolicy państwa będzie uczczeniem Patronki kraju.

Niemcy wobec prześladowania Kościoła w Polsce. Episkopat Niemiec po aresztowaniu kardynała Wyszyńskiego wziął udział w ogólnoświatowym proteście, a na ręce kanclerza Adenauera nadchodziły liczne listy protestacyjne katolików niemieckich. W kościołach niemieckich odprawiane były modły na intencję prześladowanych katolików polskich. Ostatnio niemiecka firma Franz Josef Wiesner w Wiesbaden Bahnhofstr. 29, wydała obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej sześciobarwnym drukiem wielkości 31 x 22 cm w cenie 2,75 marek.

KS. MARCIN WOJCIECHOWSKI

WIARA W KOŚCIELE

„Krzewcie się w Panu i w potędze mocy Jego. Ujmijcie tarczę wiary, którą byście mogli zgasić wszystkie strzały ogniste złośnika."
(List św. Pawła, Ef.)

Od razu powstaje pytanie, czym jest wiara dla Kościoła i jaki jest ich wzajemny do siebie stosunek. Ten problem może mieć rozwiązanie w samym już pojęciu Kościoła, do którego nie można podchodzić li tylko z aparatem analizy naukowej. Kościół to nie tylko zjawisko historyczne. Do Kościoła trzeba podejść z wiarą, która sięga dalej niż rozum. Kościół jest przedmiotem wiary. W Symbolu nicejsko-konstantynopolitańskim czytamy: „Wierzę w jeden, święty, powszechny i apostolski Kościół". Co to znaczy? Jest to wyraźne stwierdzenie, że w Kościele poza stroną widzialną, jest coś, co wchodzi w dziedzinę wiary. A tym jest: jego ustanowienie, jego konstytucja, jego środki, jego założyciel, jego trwanie, jego cele. Wszystko to nadprzyrodzone, bez względu na to, czy jest dostrzegalne czy nie. A zatem wszystko staje się przedmiotem wiary.

Aby zrozumieć czym jest wiara w Kościele, trzeba pojąć najpierw, czym jest Kościół. Kościół to nadprzyrodzona rzeczywistość Nowego Zakonu. Jest to organizacyjna zbiorowość ludzi, którzy przez śmierć Jezusa Chrystusa i Jego zmartwychwstanie powołani są do tego, aby żyli z Bogiem, życiem synów przybranych. A zatem Kościół jest tajemnicą wiary, którego realizacja sięga tego momentu w Starym Testamencie, kiedy Bóg wybierał sobie naród wybrany, kiedy ustanowił przymierze z Abrahamem, ojcem tego ludu, któremu dał obietnicę, iż będzie jako gwiazdy na niebie i jak piasek na brzegu morskim. Były to obietnice mesjańskie, do których Abraham podszedł z całą prostotą swej wiary. Wiara regulowała jego stosunek do Boga. On wielu rzeczy nie rozumiał, wierzył jednak w to, że Bóg jest wierny w swoich obietnicach.

Przymierze Abrahama zostaje odnowione przez Mojżesza na górze Synaj. Wierność ludu przykazaniom Boskim staje się probierzem wierności Bogu. I oto sam Jahwe staje na czele swego ludu, jest jego Panem ten, który jest Bogiem całej ziemi, prowadzi go, chroni przed nieprzyjaciółmi. Rządy nad ludem należą wyłącznie do Boga. Izrael staje się narodem teokratycznym, narodem świętym, żyje wyłącznie dla Boga.

Pierwotne obietnice mesjańskie obracały się w granicach dóbr materialnych i rasowych; pod wpływem jednak proroków i wypadków przekształcały się w dobra duchowe; zacierały się przytem granice etniczne. Głos Jahwe powołuje już nie jeden naród, ale wszystkich wzywa do sprawiedliwości. Ziemia obiecana przekształca się w Królestwo Boże, w którym Bóg będzie panował i rządził w sprawiedliwości. W świetle tych pojęć i przemian dziedzictwa Bożego słyszy się wydźwięk nowotestamentowej idei mesjańskiej i idei Kościoła.

Na tych przesłankach skonstruowana została idea św. Pawła o Kościele, jako Mistycznym Ciele Chrystusa; jego podstawową racją jest relacja tożsamości, jaka panowała między ludem a Bogiem w Starym Testamencie. Jest to idea solidarności między członkami społeczności a społecznością, w której żyją ludzie tej samej krwi, którzy mają to samo przeznaczenie i tę samą ideę religijną.

Kościół jest to nowy porządek, nowa rzeczywistość, którą Chrystus rozpoczął od samego początku swej publicznej misji, a jej zrealizowanie ogłosił w dniu Zesłania Ducha Św. W tym nowym porządku obietnice dane Abrahamowi ulegają radykalnej przemianie. Dziedzictwo wprawdzie wciąż pozostaje, a i dobra, do których jesteśmy wezwani, ale zmienia się ich natura. Nie są to już dobra materialne, ale duchowe, nadprzyrodzone, dobra samego Boga. Drzwiami, które otwiera Nowe Przymierze, stała się Krew przelana na Krzyżu, dziedzictwo Krwi stało się życiem wiecznym.

Do uczestnictwa w tak niezwykłym dziedzictwie wymaga się, rzecz oczywista, niezwykłych przemian u tych, którzy są przeznaczeni do niego. Jeżeli otrzymujemy cząstkę dziedzictwa w Bogu, to dokonuje się ono jedynie przez Jezusa Chrystusa. Tylko On jest rzeczywistym dziedzicem Boga. Św. Paweł, kiedy mówi o usprawiedliwieniu przez wiarę, dowodzi, że obietnice dane Abrahamowi i jego potomstwu, odnoszą się jedynie do Chrystusa. Odziedziczyć od Boga dobra może tylko sam Chrystus przez swoją naturę, która jest jedna, wspólna z Ojcem. My zaś dziedziczymy te dobra tylko przez uczestnictwo w Jezusie Chrystusie, stając się współdziedzicami przez wiarę w Niego przez to, że stajemy się Jego członkami, wraz z Nim wznosimy się do łona Ojca. W Nim, w Jezusie Chrystusie, my możemy mieć życie dzieci w rodzinie Boga. To wszystko, rzecz oczywista, jest przedmiotem wiary i nadziei, do której zostaliśmy wezwani.

W tym też świetle zrozumiemy, dlaczego Chrystus swój stosunek do Apostołów oparł na wierze. Mieli oni wprawdzie początkowo jakieś wyrachowania ziemskie, które jednak zaczęły się rozwiewać w zetknięciu z rzeczywistością wynikającą z ich powołania. W końcu stanęli oni przed perspektywą Krzyża, który wzięli w nagrodę za swój trud apostolski.

Chrystus zlecił im swą misję, obdarzając ich autorytetem Boskim, kiedy powiedział: „Jako mnie Ojciec posłał i ja was posyłam. Idąc nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je w imię Ojca i Syna i Ducha Św. Kto uwierzy i ochrzci się, będzie zbawiony, kto nie uwierzy, będzie potępiony." Ich misją było nieść słowo Boże i oni mieli stać się świadkami Nowego Przymierza. Oni nieśli zbawienie każdemu, kto uwierzył w ich słowa, które im zlecił Chrystus. Oni w sercach zasiewali wiarę, która, według św. Pawła, jest podstawą rzeczy, których się spodziewamy, przeświadczeniem o rzeczach niewidzialnych. A bez wiary nie podobna jest podobać się Bogu. Przystępującemu do Boga trzeba wierzyć, że Bóg jest i że nagradza tych, którzy Go szukają (Żyd. 11, 1, 6).

Św. Paweł mówiąc o Kościele, wyraża go w dwojaki sposób: Chrystus w nas, a my w Chrystusie. Wychodząc z założenia pierwszego: Chrystus w Kościele, stajemy wobec tajemnicy zamieszkania w nas Chrystusa w sposób najintymniejszy. Chrystus zamieszkując w nas, staje się principium naszego działania. Wyciska to nadprzyrodzony charakter na całości życia chrześcijańskiego, które sprowadza się do naśladowania Chrystusa, do odtworzenia Go w nas. Obie te zasady wyrażają w sobie tę prawdę, że Chrystus kształtuje w nas osobowość chrześcijańską, jako w członkach swego Mistycznego Ciała.

Zbiorowość ludzka, chrześcijańska, ożywiona tymże duchem, pozostająca pod wpływem oddziaływania Chrystusa, tworzy jeden organizm, Ciało Chrystusa, w którym dochodzimy do jedności wiary i poznania Syna Bożego. A Chrystus, który jest obrazem Boga niewidzialnego, przez którego wszystkie rzeczy są stworzone, jest głową ciała Kościoła, jak mówi św. Paweł.

Stojąc przed głębią tajemnicy, jaką jest Kościół, Ciało Mistyczne Chrystusa, może powstać pytanie, jaka jest nasza rola wobec tego misterium? Św. Paweł wskazuje na wiarę i miłość, jako na elementy konstruktywne w budowaniu Ciała Chrystusowego. Św. Paweł mówi: „do budowania Ciała Chrystusowego, dopóki nie dojdziemy wszyscy do jedności wiary i poznania Syna Bożego... żebyśmy rośli we wszystkim w nim, który jest głową: Chrystus" (Ef. 4, 12-15).

Wiara nadprzyrodzona staje się jakby okiem samego Chrystusa, a miłość Jego sercem, które w nas bije. Przez wiarę i miłość nasze życie przemienia się w Chrystusa tak, że możemy powtórzyć za św. Pawłem: „A żyję już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus. A to, że teraz żyję w ciele, żyję w wierze Syna Bożego." (Gal. 2, 20). W świetle tym zrozumiemy św. Ignacego, który mówi: „Wiara, która jest ciałem Pana i miłość, która jest Jego krwią". Przez wiarę i miłość stajemy się żywymi członkami Chrystusa. Chrystus mieszka w nas.

Wierzyć, co to znaczy? To znaczy przyjąć punkt patrzenia Chrystusa. Wierzyć, to znaczy oceniać życie nie z punktu widzenia swego, cielesnego, lecz we wszystkim szukać racji Chrystusowej.

W wierze odnajdujemy prawdziwy realizm, jakim jest ciało Chrystusa; otrzymujemy nowe spojrzenie na wszystkie sprawy. Ciało Mistyczne jest celem dla odrodzonej w Chrystusie ludzkości. Jeżeli Bóg żąda od nas, abyśmy przyjęli punkt widzenia Chrystusa, to nie można poprzestać na zwyczajnym tylko zewnętrznym naśladowaniu, lecz trzeba pójść w głąb pełnego odnowienia się w Chrystusie. „Patrzcie — mówi św. Jan — jaką miłość dał nam Ojciec, iż nazwani jesteśmy synami Bożymi i jesteśmy. Dlatego świat nie zna nas, że jego nie zna. Teraz synami Bożymi jesteśmy, a jeszcze się nie okazało, czym będziemy. Wiemy, że gdy się ukaże, podobni mu będziemy, gdyż go ujrzymy, jako jest." (1 Jan. 3, 1-2).

Ks. Marcin Wojciechowski

ANTYKOŚCIELNA LITERATURA W POLSCE

Nowy numer głównego organu instrukcyjnego komunistów w Polsce, miesięcznika „Nowe Drogi" przynosi obszerny materiał antykościelny. Tym razem jest to ponad dziesięciostronicowa rozprawa w dziale „Recenzje i bibliografia" p.t. „Ostatnie wydawnictwa o Watykanie", napisana przez niejakiego Jana Wiewiorowskiego, jednego z wyższych urzędników w komórce inwigilacji spraw religijnych w centralnym komitecie partii komunistycznej w Polsce.

Ta olbrzymia recenzja jest osobną rozprawą, instruującą poszczególne komórki komunistyczne na terenie całej Polski, w jaki sposób mają być omawiane sprawy religijne na zebraniach, w jaki sposób ma być atakowana Stolica Apostolska oraz w jaki sposób ma być „tłumaczone" społeczeństwu polskiemu aresztowanie Prymasa Polski, Kardynała Wyszyńskiego. Warto tu przypomnieć, iż artykuły i opracowania, drukowane w „Nowych Drogach" są materiałami, które mają być przez sieć partyjną rozprowadzane w całej Polsce i stanowić podstawę pracy komunistycznej na najbliższy czas.

Autor artykułu wziął za podstawę swego opracowania cztery wydawnictwa komunistyczne, które w ostatnim czasie pojawiły się nakładem reżymu w dziale literatury antyreligijnej. Są to następujące cztery książki: Henryk Korotyński „Pytania, które czekają na odpowiedź" (wyd. „Czytelnik"), J. Jurkiewicz „Nuncjatura Achillesa Ratti w Polsce" (wyd. „Czytelnik"), A. Nowicki „Papież Pius XII w świetle własnych przemówień i listów" (wyd. „Książka i Wiedza") i A. Nowicki „Watykański bank Pacellich" (wyd. „Książka i Wiedza").

Opracowanie Wiewiórowskiego nie jest oczywiście żadną recenzją, ale częścią z góry ukartowanego planu. Odpowiednia komórka komitetu centralnego partii komunistycznej w Polsce zleciła kilku swoim politrukom i specjalistom od szkalowania religii opracowanie z góry wyznaczonych tematów. Opracowania te zostały dokonane, instytucje reżymowe następnie je wydały, a teraz w organie instrukcyjnym ten sam czynnik, który książki zamawiał, ujmuje rezultaty tych opracowań w jednolitą całość, która podawana jest do jak najszerszego rozpowszechnienia.

Celem tej całej akcji jest skoncentrowane uderzenie w Kościół katolicki, przede wszystkim w Stolicę Apostolską, a następnie w Kościół w Polsce. Wyrazem tych celów mogą być zdania, umieszczone zaraz na początku artykułu. Wiewiorowski pisze: „Watykan na terenie Europy występuje jako narzędzie imperializmu amerykańskiego nie tylko w sprawach ideologicznych. Drogą oddziaływania poprzez hierarchię kościelną w państwach Europy zachodniej, związaną ściśle z aparatem ucisku burżuazyjnego, kuria rzymska pomaga imperializmowi amerykańskiemu podporządkować celom jego polityki działalność poszczególnych rządów burżuazyjnych".

W innym miejscu artykułu Wiewiorowski pisze: „Na tle stosunku Watykanu do militaryzmu niemieckiego wyraźnie rysuje się wrogo i nieprzejednany stosunek kurii rzymskiej do Polski, a przede wszystkim do naszych granic na Odrze i Nysie". A dalej: „Sposób przedstawienia przez autora (Korotyńskiego) faktów wrogiej działalności części kleru, której patronował b. prymas Wyszyński, pozwala czytelnikowi zobaczyć sprężyny tej działalności, służebną rolę polityki watykańskiej wobec imperializmu amerykańskiego, prącego do nowej pożogi wojennej".

W artykule wiele miejsca poświęcono rzekomym niepatriotycznym postępom Prymasa Polski, po to, aby usprawiedliwić gwałt na nim dokonany. W podobny sposób „usprawiedliwiane" są również gwałty dokonane na innych biskupach, między innymi na Księdzu Biskupie Adamskim z Katowic.

Artykuł instrukcyjny dla kampanii antyreligijnej komunistów w miesiącach zimowych bieżącego roku zawiera dwa główne wskazania: Pierwsze na użytek wewnętrzny: „...Wbrew tym, którzy działalność swoją związali z polityką Watykanu i występują przeciwko interesom swojego narodu, polityka pokoju i patriotyzmu skupiła w szeregach Frontu Narodowego olbrzymią większość Polaków, w tym również całe oddane narodowi polskiemu duchowieństwo". Drugie wskazanie komunistyczne ma cel ogólny. Nakazuje ono, na podstawie artykułu Wiewiórowskiego, stwierdzać, iż Kościół katolicki zajął nieprzejednaną postawę wobec „Związku Radzieckiego". Powód tej postawy podany został w twierdzeniu, iż antykomunizm Kościoła katolickiego płynie z rzekomego sojuszu Stolicy Apostolskiej z polityką amerykańską. W całym natomiast artykule, ani w jednym miejscu nie stwierdzono, iż antykomunistyczna postawa Kościoła katolickiego może płynąć z zasadniczej antyreligijności Sowietów i komunizmu.

Wspomniany artykuł i omówione w nim książki przypominają, iż w Polsce trwa nie przerywana ani na chwilę ciężka, okrutna i nieustępliwa walka z religią. Oszczerstwo, obok terroru, jest jej główną bronią. (IC)

ZOFIA ARCZYŃSKA

Ś.P. JÓZEF TURCZYŃSKI

Jakże trudno wyrazić żal słowami, które wydają się blade i małe wobec wielkiej straty, jaką poniosła sztuka polska ze śmiercią Józefa Turczyńskiego.

Żal ten, głęboki i szczery, dzielą liczni wielbiciele jego talentu, rozsiani po całym świecie, wdzięczni za tyle pięknych chwil, jakie dawał słuchaczom swych recitali, w szczególności Chopina. Dzieła Chopina bowiem odtwarzał Józef Turczyński z największym zrozumieniem, czystością i pietyzmem.

Kulturę muzyczną wyniósł z domu rodzinnego w Żytomierzu, gdzie pierwszym jego nauczycielem był ojciec — pupil Moniuszki. Studia kontynuował u Busoniego, który Tarczyńskiego uważał za swego najwybitniejszego ucznia. Po zdobyciu pierwszej nagrody na międzynarodowym konkursie pianistów w roku 1911 w Petersburgu, rozpoczął Turczyński swój pochód triumfalny po wszystkich ośrodkach muzycznych Europy i Ameryki Południowej.

Równocześnie z działalnością wirtuozowską prowadził działalność pedagogiczną, stając się rychło niewątpliwie największym i najbardziej cenionym profesorem w Polsce. Jako profesor, a później wicedyrektor Konserwatorium w Warszawie wykształcił grono czołowych młodych pianistów polskich, z których niektórzy, jak np. Małcużyński, zyskali sławę światową.

Obok ogromnych zasług Turczyńskiego jako pianisty i pedagoga umieścić należy współpracę z Paderewskim nad nowym wydaniem dzieł Chopina, których był wybitnym znawcą. Niewielu muzyków przeniknęło tak do głębi twórczość Chopina, niewielu przyswoiło ją sobie tak całkowicie, a żaden bodaj nie odnosił się do niej z takim pietyzmem, jak Turczyński.

Pietyzmem tym natchnął swych uczniów i słuchaczy koncertów oraz prelekcji. Był prawdziwym ambasadorem sztuki i kultury polskiej. Posiadając rzadki dar jednania ludzi sobie i swym ideałom, wywierał wielki wpływ na tych, którzy mogli potem szerzyć w świecie uznanie dla twórczości polskiej, a więc w szczególności na przedstawicieli dyplomacji akredytowanych w Warszawie oraz na artystów cudzoziemców, z którymi państwo Turczyńscy utrzymywali bliskie stosunki i którzy ulegali chętnie urokowi atmosfery panującej w ich gościnnym domu.

Działalność artystyczno-kulturalną kontynuował Józef Turczyński na obczyźnie, prawie do końca życia, walcząc z chorobą, która okazała się, niestety, nieubłagana. Zmarł w święto Bożego Narodzenia 1953 roku w klinice w Lozannie.

Był bardzo głęboko religijny, nic więc dziwnego, że do śmierci przygotował się w sposób budujący. I w tym, jak we wszystkim, co czynił, było znamię „prostoty doskonałości", jak to określił Norwid w „Fortepianie Szopena":

...A w tym coś grał — i co zmówił ton,
i co powie,
Choć inaczej się echa ustroją,
Niż gdy błogosławiłeś sam ręką swoją
Wszelkiemu akordowi —
A w tym coś grał, taka była prostota
Doskonałości Peryklejskiej,
Jakby starożytna która cnota
W dom modrzewiowy wiejski
Wchodząc, rzekła do siebie:
„Odrodziłam się w niebie
I stały mi się arfą wrota,
Wstęgą — ścieżka...
Hostię przez blade widzę zboże...
Emanuel już mieszka
Na Taborze!"

◆

Przejawy religijności Profesora mam w żywej pamięci. Nigdy nie zapomnę, jak to przed wyjazdem państwa Turczyńskich z Warszawy do Morges, na wakacje do Paderewskiego, w lecie 1939 roku, w gronie kilku zaproszonych osób, ukląkł przed obrazem Matki Boskiej i zaczął się modlić. Jakby w przeczuciu, że to jego ostatnie chwile w tym uroczym, pełnym dzieł sztuki mieszkaniu, gdzie tylokrotnie zachwycał swych gości-słuchaczy. Przy boku jego była zawsze idealna pani tego domu i idealna towarzyszka życia.

Innym znów razem, przed koncertem w londyńskim Wigmore Hall, już po wojnie, profesor zawołał do żony szybko i jakby w zalęknieniu, że zapomni o czymś najważniejszym: „Chodź pomodlić się!" I wreszcie w liście, pisanym już przez żonę Profesora pod jego dyktando, do autorki tych słów znalazł się taki ustęp: „Proszę o modlitwy gorące i stałe, z czystym sercem i czystą myślą, zwróconą ku Bogu, bo tam, gdzie ludzie już nic nie mogą, Bóg Wszechmogący wszystko może..."

◆

Ten człowiek, drobny i wątły, był wielkim. Był — cytuję słowa Paderewskiego — „wielkim artystą i wielkim muzykiem", a także wielkim Polakiem, któremu na sercu leżała zawsze sprawa ojczysta, i wielkim profesorem, wielbionym przez wszystkich uczniów, z którymi się dzielił nie tylko swoją wiedzą ogromną, ale i sercem pełnym dobroci i zrozumienia.

Kiedy rozpoczęłam jako młodziutka dziewczyna studia pod kierunkiem Profesora, w pierwszym roku na Jego imieniny ofiarowałam Mu bukiet białego bzu. Niechże teraz ta garść wspomnień będzie gałązką białego bzu, złożoną z czcią i głębokim żalem na Jego mogile w dniu św. Patrona.

Zofia Arczyńska

KATOLICYZM NA PORTORICO

W ostatnim czasie Portorico, wyspa będąca dominium Stanów Zjednoczonych, przypomniała się światu przez ponowny zamach na życie prezydenta Stanów Zjednoczonych. Warto przy tej sposobności przyjrzeć się życiu katolików na tej wyspie.

Portorico należy do krajów najgęściej zaludnionych: na obszarze 9 tysięcy km kw. żyje 2.250.000 mieszkańców, z czego 97 % jest katolików, przynajmniej z metryki. Nie da się jednak zaprzeczyć, że na skutek braku silnej organizacji i obojętności wielu z nich, jak to zresztą jest niestety w wielu krajach o większości katolickiej, katolicy nie potrafili przeprowadzić zwycięskiej walki o utrzymanie tam zasad moralności chrześcijańskiej. A trzeba zaznaczyć, że walka ta na Portorico nie była i nie jest łatwa. Pod względem rozwodów — 21 rozwodów na 100 małżeństw — Portorico wyprzedza wszystkie kraje na kuli ziemskiej, nawet Stany Zjednoczone, w których przypada 16 rozwodów na 100 małżeństw. Ze względu na duży przyrost naturalny ludności (55 tysięcy rocznie) propagowana jest zarówno kontrola urodzin jak sterylizacja: w 1946 r. liczono 146 klinik sterylizacyjnych, a ponad 50 tysięcy osób poddało się zabiegom sterylizacyjnym.

W szkołach państwowych, do których uczęszcza ponad 90 % dzieci, praktycznie wychowanie jest laicystyczno-ateistyczne, a wysiłki przeciwstawiające się temu stanowi rzeczy nie odniosły skutku i nie udało się przeprowadzić projektu prawa o nauczaniu religijnym w szkołach państwowych. Nauczanie prywatne katolickie obejmuje zaledwie około 4 % ogółu dzieci; bardziej zadowalający stan można zanotować w szkolnictwie uniwersyteckim, gdzie ilość młodzieży pobierającej nauczanie katolickie wynosi 11 %. Wśród zakładów wyższych trzeba wymienić uniwersytet N. M. Panny, który jest afiliowany do katolickiego uniwersytetu w Waszyngtonie.

Czynnikiem utrudniającym działalność katolików jest masoneria, która jest w tym kraju jeśli nie najsilniejsza, to jedna z najsilniejszych na całym świecie. Ponadto, jak w wielu krajach, spirytyzm jest plagą zwłaszcza wśród biedniejszej ludności. Istnieje nawet specjalny organ spirytystów.

Duchowieństwa jest bardzo mało: zaledwie 295 księży, a tylko 40 spośród nich jest pochodzenia miejscowego.

Katolicy rozporządzają 32 programami radiowymi każdego tygodnia, mają ceniony tygodnik „El Piloto" wydawany przez dominikanów i inne wydawnictwa. Czynne są zwłaszcza dwie organizacje: Rycerze Kolumba i Stowarzyszenie Imienia Jezus, które w Roku Świętym 1950 zorganizowało misje, a ich rezultaty przeszły wszystkie oczekiwania: 81 misyj, ponad 400 tysięcy uczestników, ponad 11 tysięcy uregulowanych małżeństw. Korzystając z corocznych uroczystości Chrystusa Króla, obchodów świąt Matki Boskiej i uroczystości papieskich katolicy organizują pochody i rozwieszają odpowiednie afisze.

WOJCIECH GNIATCZYŃSKI

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

CZYTAJĄC NORWIDA

We wszystkim, co słyszymy o Norwidzie, najczęściej powtarzają się określenia: „poeta trudny", „poeta filozoficzny" i „poeta katolicki". Co te określenia znaczą?

1.

Norwid urodził się we wrześniu 1821, kiedy Słowacki miał 11 lat. Następnego roku ukazały się rewolucyjne „Ballady i romanse", pierwszy tomik wierszy Mickiewicza. Norwid przeżył tych dwóch poetów, czytał zapewne niektóre z ich utworów wydanych pośmiertnie. W roku 1823 urodzili się Syrokomla i Ujejski, w 1838 — Asnyk. Pierwszy tomik wierszy Norwida ukazał się w roku 1840, w rok po urodzeniu się Orzeszkowej. W roku 1842 Norwid wyjechał za granicę, w tym samym roku urodziła się Konopnicka. Prus przyszedł na świat, kiedy Norwid miał 24 lata, a w rok później urodził się Sienkiewicz. Kasprowicz i Zapolska mieli już po 23 lata, kiedy — w roku 1883 — Norwid umarł. Na krótko przed śmiercią Norwida urodził się Staff. Taki wachlarz ludzi obejmowało jego życie, ludzi trzech wielkich epok — romantyzmu, pozytywizmu i Młodej Polski. Ale Norwid stanowi sam dla siebie oddzielny okres literatury. Nie można go porównać z niczym innym w polskiej poezji. Pytania, które wyłaniają się z jego dzieła, odpowiedź znajdują tylko w tym dziele i nigdzie indziej. To jest trudność prawdziwa.

Za życia Norwida i krótko po jego śmierci poezja jego miała tę samą funkcję, co dziś dzieła takich poetów jak T. S. Eliot, Dylan Thomas i Hopkins w Anglii, E. E. Cummings i Marianne Moore w Ameryce, a w Polsce przed wojną „awangarda" i jej podobni. W ciągu tych siedemdziesięciu lat, które upłynęły od śmierci Norwida, sytuacja zmieniła się o tyle, że poezja dziś w ogóle nie ma czytelników — poza garstką snobów, niestety już coraz rzadszych, oraz specjalistów i niewielu prawdziwych miłośników poezji. Dawniej czytywano nie tylko Mickiewicza, ale także poetów mniejszych, Brodzińskiego, Koźmiana, starą poezję Morsztynów, Kochowskiego, nawet jeżeli Norwida nie dostrzegano. Dzisiaj na półkach księgarskich okrywają się kurzem wszyscy: Mickiewicz, Słowacki, Kniaźnin, Baliński, Kochanowski, Bohdanowiczowa, Norwid, Miłosz, nawet „komunikatywny" Gałczyński. W ciągu kilkudziesięciu lat zdołano rodakom Norwida przypomnieć, zdołano im nawet wmówić, że Norwid jest wielki, ale tzw. publiczność przestała czytać. Jeżeli trudność Norwida nie rozjaśniła się, to przede wszystkim dzięki temu upadkowi czytelnictwa. Z czyjej winy on nastąpił, niełatwo byłoby rozstrzygnąć; faktem jest, że poeta wypadł poza krąg słuchaczy.(1) Z tego nie wynika jednak, by poezja Norwida (a także poezja XX wieku) była niezrozumiała. Nadejścia chwil odrodzenia się gustu do poezji nie można przewidzieć. Jakże wytłumaczyć popularność, którą nagle zaczęła się cieszyć „Wigilia" Norwida (i „Mój testament" Słowackiego) wśród młodzieży warszawskiego podziemia?

Przeczytanie poematu odtwarza jego prawdziwe znaczenie tylko częściowo.(2) Ponadto poezja starzeje się w tym sensie, że z biegiem czasu poszczególne słowa obrastają w nowe znaczenia, zmienia się ich treść. Lecz jest to starzenie się wina albo skrzypiec, a nie umieranie. Dlatego tradycja czytelnicza jest konieczna do rozumienia poszczególnych poematów i do rozumienia funkcji, treści socjalnej i natury poezji. Tradycja ta przerwała się właśnie w chwili, kiedy poezja Norwida zaczęła się starzeć. Jak można rozumieć poezję, której się nie czyta?

Na czym polega „rozumienie" poezji? Argument poetycki różni się od logicznego. Nie postępuje: jeżeli „a", to „b", jeżeli „b", to „c" itd. Aby udowodnić jakieś twierdzenie, najlepiej posługiwać się prozą lub po prostu matematyką (albo logistyką). Poezja spogląda na rzeczywistość z innego punktu widzenia i obejmuje całość od razu. Rzeczywiste prawdy pokazuje stwarzając fikcję, naukową nieprawdę, fikcję, która jest równowartością a nie równoznacznością tych prawd. Żądanie, by poeta wyrażał się jasno i jednoznacznie byłoby słuszne, gdyby jasne i jednoznaczne było to, co wyraża. Tzw. „niezrozumiałość" może oznaczać, że poeta wyraża skomplikowaną myśl albo raczej myślo-uczucie, a rzeczy skomplikowane wydają się niezrozumiałe. Dlatego poezję „niezrozumiałą" warto czytać. Jeżeli natomiast przez poezję „zrozumiałą" uważamy taką, której całkowity sens uchwycimy przy pierwszym czytaniu, jeżeli przy drugim czytaniu nie odkryjemy niczego nowego, to czytać jej nie warto.

Różnica pomiędzy poezją „zrozumiałą" a „niezrozumiałą" polega często na tym, że „niezrozumiała" posługuje się nowym, jeszcze nieznanym językiem poetyckim. Oto co Kajetan Koźmian, rozum i talent w żadnym razie nie mały, miał do powiedzenia o języku ballad i sonetów Mickiewicza w roku 1827, a więc kiedy Norwid miał sześć lat:

„Wszystko to może krymskie, tureckie, ale nie polskie... Mickiewicz na przekór dobremu smakowi i rozsądkowi gmatwaniną słów niepojętego języka niepojęte i dzikie pomysły baje... Pójdziemy do Stambułu dla nauczenia się języka Mickiewicza, a nauczywszy się może będziemy wielbili; teraz trudno chwalić, czego się nie rozumie."(3)

Nic dziwnego, że zaledwie w kilkanaście lat później nie rozumiano języka Norwida. Poezja polska i dziś żyje w cieniu Mickiewicza i Słowackiego, i wiele jeszcze pokoleń poetów talenty swe spali w walce z cieniami tych dwóch olbrzymów. Żaden z poromantycznych poetów nie powinien był się spodziewać, że wniesie coś nowego do języka poetyckiego Mickiewicza i Słowackiego. Większość skazana była na epigoństwo. Potem przyszedł pozytywizm, kierunek, który wymagał wyrażania się w prozie raczej niż w wierszu. Norwid jednak zdawał sobie sprawę z tego, że sposób myślenia, a więc i język, zmienia się ustawicznie. Wiedząc to, nie miał innego wyboru jak wyrażać tę odmienną niż romantyczna świadomość i uczuciowość człowieka. Do wyrażania potrzeba jednak systemu poetyckiego. Norwid rozpoczął więc pracę budowania nowego języka, to znaczy kojarzenia wyrazów i znaczeń w nowy sposób, nowego obrazowania, nowej składni, nowej wersyfikacji, tematyki, słowem — tego właśnie nowego systemu poetyckiego. W skarbcu mowy, myśli i uczucia znalazł nowy materiał, z którego poezję się wyciosuje. Materiał ten wymagał nowych sposobów ciosania, więc Norwid je wynalazł. Na tym polega jego wielkość.

W przekonaniu, że Norwid budował swój własny, nowy system poetycki, utwierdza mnie np. wiersz „Daj mi wstążkę błękitną..." Materia tego wiersza wprost prosi się o formę sonetu, „struktura wewnętrzna" jest strukturą sonetową. Norwidowi jednak tradycyjna forma — nawet forma tak doskonała jak sonet — widocznie nie wystarczała. Zamiast 14 linijek 11-, 12- albo 13-zgłoskowych napisał tylko 12 linijek, i to na przemian 11-zgłoskowych (4+7) i 5-zgłoskowych. Ileż słów, słów niepotrzebnych, musiałby poeta dodać, żeby dosztukować ileś tam zgłosek i jeszcze dwie linijki? Cóż to za oszczędność, po prostu asceza, tym bardziej zdumiewająca, że rozlewny, szczodry, wielosłowny romantyzm jeszcze szalał!

Najpodobniejszym do Norwida z poetów obcych wydaje mi się Hopkins, który też „deformował" sonety oraz język, by wyrazić to, na co określeń jeszcze nie było. Najpierw powstają rzeczy, słowa — dopiero potem.

Oryginalność poetyckiego widzenia wywiera na późniejszych pokoleniach wpływ, który przejawia się w powstawaniu tzw. „szkół", jak „Kwadryga". Słyszymy często, że „Norwid jest t a k i nowoczesny". Wielka sztuka jest zawsze nowoczesna — im większa tym nowocześniejsza. Norwid jest tak samo nowoczesny jak Kochanowski i Petrarka. W powyższym powiedzeniu „nowoczesność" oznacza raczej, że Norwid jest modny, że ktoś go naśladuje. Sztuka zupełnie nowa nie istnieje. Po pierwsze, gdyby istniała, byłaby zupełnie niezrozumiała, po wtóre, sztuka natychmiast się starzeje, bo życie zmienia się z każdą sekundą. Sztuka nowa powstaje, ale gdy już jest, jest stara.

2.

Poeta filozoficzny. Pojęcie „poeta filozoficzny" oznacza, że powinno istnieć pojęcie „poeta naukowy". Historycy literatury nazywają pewną grupę poetów angielskich „poetami metafizycznymi". Nazwa ta się przyjęła i ponieważ wszyscy zainteresowani wiedzą, że tu nie o metafizykę chodzi, nie ma w tej zmianie. Nie potrzeba nawet używać cudzysłowu. Pojęcie „poeta naukowy" (albo „filozoficzny", albo „metafizyczny") jest jednak nonsensem, jeżeli ma ono oznaczać, że poeta coś afirmuje, podaje wiadomość typu naukowego — mówi prawdę albo nieprawdę. Nauka mówi „tak" albo „nie", podczas gdy „poeta nie afirmuje i dlatego nie kłamie" (jak to powiedział Sir Philip Sidney).

Uczony, gdy zamierza coś wyrazić, ma zadanie stosunkowo łatwe. Najtrudniejszą fazą jego pracy jest wykrystalizowanie myśli. Kłopoty poety zaczynają się dopiero, gdy usiłuje wyrazić myśl, z której obecności zdał sobie sprawę, ale która niekoniecznie musi być definitywna, konkretna.

Bodźcem, tzw. natchnieniem do procesu twórczego staje się jakieś wydarzenie, które w zetknięciu z artystyczną wrażliwością, wyposażoną w twórczy aparat, rozpoczyna coś w rodzaju reakcji łańcuchowej. Poetyckość takiego wydarzenia polega na jego zdolności zapoczątkowania tej reakcji. Może nim być przyklejenie się listka do szyby, śmierć ukochanej osoby, spłonięcie ćmy w płomieniu świecy, klęska narodu. Również sama myśl bywa poetyckim wydarzeniem, co widzimy np. w „rozłączeniu" Słowackiego i w „Mojej piosnce" Norwida. Podobnie poetyckimi wydarzeniami mogą stać się myśli typu naukowego, ale to chyba nie stanowi o „naukowości" poety. I nie powinniśmy się spodziewać, że taka myśl da początek naukowemu traktatowi wierszem. Forma wypowiedzi naukowej jest obojętna. Tymczasem dzieła literatury pięknej, jeżeli je skrócić, streścić, opowiedzieć „własnymi słowami", staną się błahe, banalne lub wręcz absurdalne, przestaną być dziełami literatury pięknej, przestaną znaczyć to, co znaczyły.

O treści dzieła sztuki nie można powiedzieć niczego istotnego, jeżeli równocześnie się nie mówi o formie. Rozróżnianie z osobna treści i formy jest nieporozumieniem. Pomiędzy wszystkimi sonetami świata istnieje jakiś związek głębszy niż układ i ilość rymów i linijek, ale z układu tego wynikający. To, co Schubert wyraża w „Niedokończonej symfonii", nie da się wyrazić w żaden inny sposób jak tylko przez „Niedokończoną" Schuberta. Zapisanie wszystkich ksiąg świata na temat treści któregokolwiek z Chopinowskich nokturnów nie powiedziałoby głuchemu nic. Zniszczenie tego, j a k dzieło mówi, oznacza zniszczenie tego, c o mówi. Ale pomiędzy muzyką Chopina a Norwida „Fortepianem Szopena", istnieje jakiś stosunek. Nie jest to tożsamość treści, lecz poetycki ekwiwalent innego rodzaju sztuki.

Jest w „Fortepianie Szopena" pewien lajtmotyw, który zawsze kojarzy mi się z Nokturnem fis-dur (op. 15, nr 2). Pierwszą zapowiedzią tego motywu jest powtórzenie na początku drugiej zwrotki:

Byłem u Ciebie w dni te przedostatnie,
Gdy podobniałeś — co chwila,
co chwila —

Potem motyw ten powraca, już nieco zmieniony, trzy razy:

I rozmawiają sobie struny cztery,
Trącając się
Po dwie — po dwie —
(zwr. 2.)

— A to jeszcze kłócą się klawisze
O niedośpiewaną chęć,
I trącając się z cicha
Po ośm — po pięć —
(zwr. 6.)

Kaukaskie się koniki rwą,
Jak przed burzą jaskółki,
Wyśmigając przed pułki
Po sto — po sto —
(zwr. 9.)

Na pozór nieznacznie tylko zmieniając ten motyw poeta za każdym razem podaje inną myśl w całkowicie nowym kontekście uczuciowym. Znajomy motyw za każdym razem jest nowy. Myślę, że na tym polega piękno owego Nokturnu fis-dur, w którym rozliczne kadencje są wariacjami na tematy zawarte w pierwszych czterech taktach utworu. O Chopina muzyce najmniej mówią te linijki, w których poeta ją analizuje, szczególnie część VII. Wariantem powyższego motywu poematu Norwida jest również linijka:

A w tym, co-ś grał — i co zmówił ton —

chociaż nie ma tu ani liczb, ani dosłownego powtórzenia. Nawiasem mówiąc, motyw ten odezwał się niespodziewanym echem w socrealistycznym poemacie Mieczysława Jastruna pt. „Stacja Majakowski".

Celem artysty jest zorganizowanie całości dzieła w sposób możliwie jak najbliższy doskonałości. Kiedy poeta próbuje udowadniać słuszność swych przekonań, pisze złą poezję. Udowadniać można przy pomocy matematyki. Poezja jest poezją złą, kiedy sprowadza się do upiększania, bo upiększenia i piękno to nie to samo. „Sztuka stwarza pozory życia" (pisze T. S. Eliot), a w życiu bywa i filozofia i stąd pozory filozofii w niektórych dziełach. Jeśli określenie „poeta filozoficzny" ma oznaczać poetę, który w swej poezji filozofuje, udowadnia, spekuluje, określenie to musimy uważać za pejoratywne.

3.

Poeta katolicki. Nie bardzo wiem, co znaczy termin „pisarz katolicki". Oto 4 definicje, które same się narzucają: 1) pisarz-katolik, 2) pisarz-dobry katolik, 3) pisarz, który pisze o katolikach, 4) pisarz, który zajmuje się katolickimi tematami religijnymi.

Najprostsza definicja — pisarz-katolik — jest za szeroka. Druga definicja — pisarz-dobry katolik — jest o wiele bardziej rozpowszechniona niżby to się wydawało. W myśl tej definicji pisarzem katolickim byłby krzyżacki mnich Falkenberg, asceta, który w swych pismach nawoływał do nawracania ogniem i mieczem, a pisarzem niekatolickim byłby Pascal, który, jak wiemy, związał się (przejściowo) z jansenistami. Stanowisko takie można by zająć, ale wprowadziłoby zamieszanie zamiast ładu, który klasyfikacja ma na celu. Trzecia definicja — pisarz, który pisze o katolikach — jest niedobra. Stendhal nie jest pisarzem katolickim. Czwarta — pisarz, który zajmuje się katolickimi tematami religijnymi — jest za wąska. Mauriac w „Teresie Desqueyreux" nie zajmuje się tematami religijnymi.

Pomińmy rozpowszechnione niestety pojęcie, że pisarzem katolickim jest ten, kto pisze o katolikach niekoniecznie prawdę i niekoniecznie artystycznie dobrze, ale za to pochlebnie. W odróżnieniu od „realizmu socjalistycznego" kierunek ten można by nazywać „realizmem katolickim", który wraz z „realizmami" narodowym, patriotycznym itp. ma na emigracji swych zwolenników. Dyktatyzm prowadzi z jednej strony do socrealistycznej „poezji", ale z drugiej — do okropności w rodzaju bajek Jachowicza.

Prof. Roman Ingarden w dziele literatury rozróżnia warstwy. Z grubsza biorąc i upraszczając(4) analizę prof. Ingardena możemy powiedzieć, że na dzieło literatury składają się warstwy: dźwiękowo-znaczeniowa, „świata" dzieła i warstwa „wartości metafizycznych". Wydaje mi się, że katolickość warstwy „wartości metafizycznych" stanowi o katolickości pisarza, jako pisarza. Dlatego Graham Greene, potępiony przez tak wielu katolików świeckich i w Kraju(5) i na emigracji oraz przez duchowieństwo niektórych krajów, jak np. Irlandia — książkami „The Heart of the Matter" i „The End of the Affair" reprezentuje piśmiennictwo katolickie. Badania katolickości dzieła w oderwaniu od estetyki(6) nie można uważać za krytykę literacką, a katolickość pisarza jako człowieka w ogóle nie należy do rzeczy.

W sensie powyższej definicji Norwid był poetą katolickim, jak zresztą olbrzymia większość polskich pisarzy. Zbadanie jego twórczości pod tym kątem widzenia mogłoby wykazać, że warstwa „wartości metafizycznych" rozrosła się w niej do nie spotykanych gdzie indziej rozmiarów, wielkość jednak tej warstwy nie może decydować o przynależności do jakiejś grupy czy klasy. Należy pamiętać, że w krytyce literackiej nie o ilości chodzi, lecz o jakości. Wreszcie trzeba stwierdzić, że określenie „pisarz katolicki" niewiele nam mówi: ponieważ niekatolickich dzieł mamy w polskim języku stosunkowo mało, określenie to znaczy tylko „pisarz należący do większości" pod tym względem. Zaliczenie poezji Norwida do katolickiej nie może natomiast znaczyć, że rozwija ona myśl katolicką. Rozwijanie myśli, jako czynność logicznego, naukowego rozumowania, nie należy do poezji. W tym sensie zatem termin „poezja katolicka" znaczyłby „poezja niepoetycka", czyli zła.

Istnieją dwa rodzaje poezji niepełnej, właściwie pół-poezji: przeintelektualizowana i sentymentalna. Przez poezję przeintelektualizowaną rozumiem taką, w której nie ma stanu uczuciowego, która nie unosi się w emocjonalnym obłoku, np. prawie cała polska poezja socrealistyczna, a w piśmiennictwie angielskim sporo poezji m.i. dra Johnsona i Aleksandra Pope'a. Poezja sentymentalna — odwrotnie. Sentymentalizm, to uczucie bez myśli. Poezja sentymentalna, to poezja pozbawiona elementu myślowego. W piśmiennictwie polskim mamy jej mnóstwo, przede wszystkim prawie cała poezja religijna, od Wespazjana Kochowskiego począwszy, skończywszy na poetach emigracyjnych.

Poezja Norwida bywa niekiedy przeidealizowana, spekulatywna — właśnie filozoficzna — co jednak jest trudniejsze a więc i szlachetniejsze niż sentymentalizm, do którego Polacy mają silną skłonność. Komu jak komu, ale naszemu narodowi „mózgowość" Norwida nie zaszkodzi.

Tym niemniej Norwid znał, a przynajmniej czuł różnicę pomiędzy poezją a tą pół-poezją. W poemacie pt. „Polka" pierwszy harfiarz patrzy analitycznie, gromadzi porównania, igra słowami, wynajduje niezwykłe, ale powierzchowne, czysto zewnętrzne podobieństwa. Pięć zwrotek, napisanych kryształowo czystym 11-zgłoskowcem (5+6) o wyrafinowanych rymach, tworzy symetryczną, pozornie skończenie piękną strukturę, ale poprzez jej formalną prostotę wyczuwamy chłód, nieobecność uczucia, a zatem fałsz. Drugi harfiarz buduje zwrotki z linijek na przemian 12-i 7-zgłoskowych, na pozór nie dba o formę — na koniec przegrywa w konkursie śpiewaczym, który jest tematem poematu, ale nie ma wątpliwości: jest prawdziwym poetą.

4.

Wydaje mi się, że większość pojęć, jakie odziedziczyliśmy po tradycyjnej krytyce, nie ma pokrycia, a pewna ich ilość wpaja w umysły wręcz szkodliwe uproszczenia. Wobec bezprzykładnego chaosu pojęć i wobec panoszenia się w polskiej krytyce literackiej potwornego żargonu, analiza najprostszych pojęć jest, jak sądzę, jedynym obecnie celowym działaniem. Szczegółowe zbadanie trzech pojęć, które powyżej starałem się z grubsza wyodrębnić, zajęłoby krytykowi kilka lat, mam jednak nadzieję, że samo już postawienie problemu okaże się nie bez pożytku.

---

(1) Herbert Read, Phases of English Poetry, Faber & Faber, London, 1950.

(2) René Wellek and Austin Warren, Theory of Literature, J. Cape, London, 1949.

(3) Cytuję za Tad. Lehr-Spławińskim, Język polski, Arct, wydanie II, Warszawa, 1951.

(4) René Wellek and Austin Warren, Theory of Literature.

(5) Por. „Tygodnik Powszechny", m. i. nry: 310, 314/315, 341, 346, 351.

(6) Takie stanowisko proponuje prof. Stefania Skwarczyńska, „Zagadnienie oceny literatury katolickiej, Próba ujęcia zagadnienia", Studia i szkice literackie, Pax, 1953.

Wojciech Gniatczyński

ROSA BAILLY

DLA POLSKI

Moi polscy przyjaciele! Jesteście najwaleczniejszymi wśród ludzi. Wasze kobiety, dziewczęta i wasi nawet malcy są bohaterami. Czujecie się w swoim żywiole na polu walki z bronią w ręku, z piersią otwartą na kule i pociski. Z całą gotowością składacie ofiarę z życia za świętą sprawę.

Otóż oczekuje was dzisiaj walka, która jest mniej porywająca. Bez rynsztunku bojowego, bez uniesień, w stroju codziennym, nie na polu chwały, lecz w prywatnych domach lub w kawiarniach. Lecz za to wymaga ona zalet, które są dla was znacznie trudniejsze od cnót wojskowych, a mianowicie: cierpliwości, wytrwałości, uporu. Zamiast broni trzeba będzie się posłużyć słowami z waszych ksiąg i dokumentów. Walka będzie polegała na tym, aby podbić wyobraźnię, wstrząsnąć nią, poruszyć i wygrać dla sprawy polskiej. Dla was, prawnuków szwoleżerów spod Somosierry, rycerzy z Monte Cassino, tego rodzaju walka wyda się bez wątpienia nużąca, zniechęcająca a być może i bezużyteczna.

A jednak jest ona koniecznością.

Wspomnijcie Francję po bitwie pod Waterloo: dyplomata Talleyrand porusza jej sprawę i stawia ją na czele zagadnień uropejskich. Przypomnijcie sobie, jak mało szans miała odradzająca się Polska w r. 1919 wobec obojętności państw zwycięskich. I oto Polska zajmuje swoje miejsce wśród sprzymierzonych, znajduje posłuch i pomoc.

Dzisiaj wojna wyzwoleńcza nie jest popularna, gdyż groziłaby zagładą ludzkości. Ale co stoi na przeszkodzie, abyśmy postępowali tak, jak to czynili Talleyrand i Paderewski — obrońcy sprawy ojczystej wobec państw suwerennych? Suwerenność dziś uległa rozproszkowaniu: zamiast przekonywać kilku królów, cesarzy czy mężów stanu musimy uświadamiać same narody, formować opinię mas, które wybierają swych szefów. Praca taka będzie wymagała więcej czasu. Ale za to jesteśmy wystarczająco silni liczebnie, aby ją podjąć. Istnieje za granicą Polonia złożona z milionów Polaków we wszystkich krajach świata.

Będąc we Lwowie w r. 1921 zwiedzałam miejsca, gdzie rozgrywały się walki. Gdy dowiedziałam się jak i w jakich warunkach ludność powstała przeciwko napastnikom, byłam olśniona jej walecznością. Polakom, którzy towarzyszyli mi w wycieczkach po ulicach tego pięknego miasta, zadawałam takie pytanie: „Dlaczego nic nie robicie, aby świat się o tym dowiedział? Świat powinien to znać. Grzeszycie nadmiarem skromności czy nawet nonszalancji". Na próżno szukalibyśmy jakiejkolwiek poważniejszej pracy w obcym języku o tych Termopilach Polski. Oficjalny serwis propagandowy ograniczył się jedynie do pomocy w wydaniu małej książeczki w języku francuskim pt. „Lwiątka". Opisane w niej boje lwowskie mają koloryt i posmak naiwnych obrazów z Epinal (znanego z produkcji i handlu tandetnym malarstwem). Czytamy tę książeczkę z pobłażliwością i bez zbytniej wiary.

W roku 1916 rzuciłam się z całym zapałem młodości w wir walki o wolność Polski. Sądziłam, że gdy Polska odzyska wolność, będę mogła wrócić do swego zawodu literackiego. Gdy traktat wersalski restytuował Polskę do rangi wolnych narodów, znalazłam sposobność poznania się z Polakami. Oczarowali mię, zadziwili i porwali, powzięłam dla nich głęboki szacunek i podziw bezgraniczny. Równocześnie wzbudzili we mnie pewne obawy. Bowiem Polacy nie zdawali sobie sprawy z tego, że wyzwolenie Polski nie będzie całkowite, o ile nie odzyska ona swego miejsca w umysłach i sercach narodów, u których imię Polski od dłuższego czasu było pokryte kirem zapomnienia.

Postanowiłam wykonać to zadanie w odniesieniu do mego własnego kraju i w obszernym imperium oraz w państwach o języku francuskim. Zadanie olbrzymie, dla którego wykonania zmuszona byłam zrezygnować z profesury, z mego życia rodzinnego i z mego powołania poetyckiego. W ciągu lat trzydziestu gorączkowej działalności wyczerpywałam się w redagowaniu czasopism, w pisaniu i w zaopatrywaniu w artykuły pism, w zmuszaniu innych do pisania, w rozpowszechnianiu opracowań, broszur, książek, organizowaniu wszelkiego rodzaju wystaw, w setkach odczytów, jak również w organizowaniu koncertów, obchodów, zgromadzeń, bankietów, w budowie pomników, w urządzaniu zbiorowych wycieczek, w ułatwianiu wymiany korespondencji... Czegóż nie robiłam, by imię Polski rozgłosić po świecie, by ją wskrzesić i w dziedzinie intelektualnej? Lecz to wszystko, to zaledwie początek: trzeba bowiem było uświadomić 40 milionów Francuzów. Dokonałam tego w odniesieniu do wielu milionów dzięki mym kolegom uniwersyteckim, dziennikarzom, palestrze, duchowieństwu... Lecz dużo jeszcze było do zrobienia, gdy tymczasem wybuchła druga wojna światowa. Otrzymałam wiadomość, że związek przyjaciół Polski w W. Brytanii oddaje się do mej dyspozycji właśnie w czasie, gdy już Niemcy opanowywali Francję od Renu aż po Pireneje.

Co wie Anglia o Polsce? Co wiedzą o niej Brazylia czy Argentyna? I Włochy? I Hiszpania? A Stany Zjednoczone, które mają decydujący głos w organizacji świata?

Na pewno bardzo mało. Prawdopodobnie tyle, co i ten sławny mąż stanu sprzed 30 lat, który nie odróżniał Galicji od prowincji hiszpańskiej o podobnej nazwie. Co robić, aby ich uświadomić o rzeczywistości polskiej? Zbieracie się — ale sami. Wygłaszacie mowy — lecz do swoich. Wydajecie dzieła o wysokiej wartości — lecz po polsku.

Trzeba zapoznać cudzoziemców z Polską, by się nauczyli ją szanować, by zdobyć w ten sposób ich sympatię i poparcie. Oto praca, do której jesteśmy powołani. Oto ten jest rodzaj walki, którą mamy stoczyć. Walka przeciwko ignorancji, obojętności, przesądom, fałszywym poglądom, oszczerstwom, przeciwko wszystkiemu temu, co stanowi największe niebezpieczeństwo dla sprawy polskiej. Musimy również stoczyć walkę z naszym odrętwieniem, naszą nonszalancją i z brakiem wiary. Walka ta doprowadzi do zwycięskiego wyniku, jeśli potrafimy ją podjąć i należycie poprowadzić. Niech jak największa ilość ludzi z różnych warstw społecznych, zawodów i wyznań we wszystkich krajach odczuje wyrzut sumienia na myśl, że ta Polska, której wielkość i ofiarność poznają dzięki naszym wysiłkom, znajduje się ponownie w niewoli. A wówczas wyzwolenie nie każe na siebie długo czekać.

Więc jaką książką zacząć? Przedstawiam wam tę, którą już napisałam i na którą złożyło się wiele lat zaciekłej pracy. Książkę o Lwowie.

Czy przyjmiecie ją?

Rose Bailly

◆

Los Polski, o którym będą decydować sprzymierzeni w przyszłym traktacie pokojowym, zależy w dużej mierze od Polaków, którzy pozostają na wolności. Ich rozproszenie ułatwia im zabieganie wobec świata o sprawę polską.

Trzeba pamiętać, że Polska zbyt długo po rozbiorach była pogrążona w zapomnieniu, zaś krótki, 20-letni okres wolności nie pozwolił zająć z powrotem należnego jej miejsca w umysłach świata.

Co mówią dzisiaj olbrzymiej większości Anglików lub Amerykanów takie nazwy jak Lwów lub Wilno? Tyleż, co jakaś mało ważna mieścina w Japonii lub Ziemi Ognistej, czyli nic... Nawet samo imię Polski wywołuje jedynie jakiś niejasny kompleks wyobrażeń.

W przewidywaniu przyszłych rozstrzygnięć Polacy i ich przyjaciele mają obowiązek naświetlić opinię publiczną obcych krajów. Do nich należy zadanie nauczyć innych cenić Polskę, podziwiać i pokochać ją.

Aby przygotować grunt do powrotu Lwowa do Polski, jako też dla uwolnienia samej Polski trzeba ją odkryć dla tych, którzy jej nie znają. Długoletnia przyjaciółka Polski, p. Rosa Bailly, Francuzka, poświęciła wiele lat pracy nad studiowaniem walk o Lwów w latach 1918-1919.

Obecnie przedstawia ona swym polskim przyjaciołom poważną pracę opartą na wielkiej ilości dokumentów historycznych, które zebrała po wojnie wśród niesłychanych trudności. Badała je, sprawdzała i porównywała z największą sumiennością, mając w tym kierunku potrzebne kwalifikacje. Będąc absolwentką jednej z wyższych szkół francuskich, uzyskała na konkursie tytuł profesorski. Jako znana pisarka i poetka, laureatka Akademii Francuskiej, Rosa Bailly była odznaczona złotym medalem Polskiej Akademii Literatury, opanowała język polski, zwiedziła Polskę około 20 razy. Posiada wyjątkowe kwalifikacje do napisania wspomnianego dzieła, a to dzięki swej wysokiej kulturze, talentowi i miłości ku Polsce. Respektując fakty z jak największą skrupulatnością, starała się w miarę możliwości uczynić to dzieło jak najbardziej żywym. Ponadto wniosła autorka do swej pracy ową jasność francuską w ujęciu chaosu wydarzeń końcowego okresu wojny światowej oraz tego splotu zagadnień narodowościowych i religijnych, które zwykle zrażają tych, co mają do czynienia z dziejami kresów wschodnich.

Olśniewający jest sam temat walk o Lwów! Godne jest podziwu nie tylko niezrównane bohaterstwo ludności polskiej, lecz również i talenty organizacyjne dowódców, którzy potrafili zaimprowizować regularne wojsko w ogniu walk ulicznych z elementów tak mało podatnych do dyscypliny, jak młodzi chłopcy i batiary. Uderzające są również walory ochotników, ich inicjatywa, odwaga i wytrzymałość. I właśnie miarą prestiżu Polski jest to bezgraniczne przywiązanie takiego miasta jak Lwów oraz ta wielka rola cywilizacyjna, jaką odegrała Polska na krańcach Europy.

* * *

Wpłaty w dolarach oraz we frankach franc. należy przekazywać bezpośrednio pod adresem p. Rosy Bailly (41, Rue de Montparnasse, Paris XIV) składki w funtach do wydawnictwa „Wiadomości" (54, Bloomsbury Street, London W.C.1) oraz ich przedstawicielstw za granicą.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA 21 marca 1954.

Uroczystości we Włoszech w 10-lecie bitwy o Monte Cassino

W maju 1954 roku, w całym wolnym świecie, gdziekolwiek przebywają Polacy, wszędzie gdzie biją wolne polskie serca, święcona będzie dziesiąta rocznica polskiego zwycięstwa pod Monte Cassino.

Dnia 18 maja 1944 roku żołnierz polski, pod dowództwem gen. W. Andersa, walcząc za „Waszą i naszą wolność" na ziemi włoskiej, otworzył wojskom alianckim drogę do Rzymu, a orężowi polskiemu przysporzył chwały.

Wszędzie, gdziekolwiek przebywają Polacy i gdziekolwiek mogą oni swobodnie manifestować swe uczucia, będzie obchodzona dziesiąta rocznica bitwy o Monte Cassino. Główne uroczystości jednakże odbędą się w Wielkiej Brytanii i we Włoszech.

Uroczystości na Monte Cassino odbędą się 19 maja 1954 roku. Przybędą tam liczne pielgrzymki z różnych krajów wolnego świata.

W Rzymie powstał komitet, mający na celu zarówno przyjęcie rodaków z całego świata, przybywających na obchód, jak i przygotowanie i przeprowadzenie programu.

Do Komitetu Honorowego ze strony polskiej weszli m.in. J. E. Ks. Arcybiskup Józef Gawlina, Protektor Uchodźtwa Polskiego i Dr Kazimierz Papée, Ambasador R.P. przy Stolicy Apostolskiej. Ze strony włoskiej wchodzą liczni przedstawiciele świata politycznego, wojskowego, kombatanckiego, społecznego itd.

Komitetem Wykonawczym jest Zarząd Stowarzyszenia Polskich Kombatantów we Włoszech.

Program obchodu przewiduje m. in. wspólną pielgrzymkę wszystkich przybyłych z różnych krajów do Rzymu, Polaków na Monte Cassino, audiencję u Ojca Świętego, procesję z kościoła św. Stanisława w Rzymie do kościoła Imienia Marii (wybudowanego na pamiątkę polskiego zwycięstwa pod Wiedniem), wręczenie sztandaru Stowarzyszeniu Kombatantów we Włoszech, pielgrzymkę zbiorową do Loreto, odsłonięcie w bazylice loretańskiej tablicy upamiętniającej uratowanie bazyliki przez polskich żołnierzy od pożaru, wywołanego niemieckim bombardowaniem w 1944 roku.

Uroczystość dziesięciolecia Monte Cassina przypada na Rok Maryjny, co ma jeszcze większe znaczenie dla Polaków przybywających do Włoch.

Komitet Wykonawczy Obchodu Dziesięciolecia Bitwy o Monte Cassino we Włoszech oraz Stowarzyszenie Polskich Kombatantów we Włoszech gorąco i serdecznie zapraszają wszystkich Polaków na uroczystości rocznicowe do Włoch.

Wszystkie instytucje, organizacje, stowarzyszenia, redakcje itp. proszone są o nadesłanie okolicznościowych tekstów, które zadokumentują nad grobami poległych na Monte Cassino łączność i jedność wszystkich Polaków w świecie.

Teksty te należy nadsyłać pod adresem:

Witold Zahorski, prezes Stowarzyszenia Polskich Kombatantów we Włoszech — Via Nazario Sauro 9, Roma, Italia.

Teksty, które należy wysłać z takim obliczeniem, aby do połowy maja 1954 roku dotarły do Rzymu, będą odczytane podczas obchodu na Monte Cassino, a następnie umieszczone w pamiątkowym wydawnictwie.

Pragnęlibyśmy, aby do ufundowania sztandaru, który po poświęceniu go przez J. E. Ks. Arcybiskupa Józefa Gawlinę będzie wręczony na Monte Cassino przez Generała Andersa Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów we Włoszech, przyczynili się Polacy z różnych krajów wolnego świata. W tym celu utartym polskim zwyczajem ofiarowane będą gwoździe do drzewca sztandaru. Wbijane one będą na Monte Cassino podczas uroczystości, dnia 19 maja 1954 roku. Na główicy każdego gwoździa, wykonanego ze złota, będzie umieszczone imię i nazwisko ofiarodawcy lub nazwa organizacji, która gwoźdź ofiaruje. Cena gwoździa wynosi 10.000 lirów włoskich, czyli około 16 dolarów amerykańskich.

Przekazywać należności (z podaniem tekstu, jaki ma być wyryty na gwoździu) można międzynarodowymi przekazami, czekami, listami poleconymi, zależnie od przepisów dewizowych danego kraju, do końca kwietnia br. na adres podany wyżej.

KOMITET WYKONAWCZY OBCHODU DZIESIĘCIOLECIA BITWY O MONTE CASSINO WE WŁOSZECH ORAZ STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW WE WŁOSZECH

KRONIKA MUZYCZNA

JOSÉ ITURBI

Jeżeli program recitalu jakiegoś solisty obejmuje szeroki wachlarz nazwisk kompozytorów o bardzo odmiennych charakterach, można z góry przewidywać, że żaden lub prawie żaden utwór nie będzie zagrany doskonale.

Jest rzeczą zupełnie naturalną, że każdy artysta odtwarza najlepiej tę sztukę, która do jego własnego usposobienia najbardziej przemawia.

(Vaughan-Williams otwarcie się przyznaje, że nie rozumie Beethovena, który porywa nie tylko większość ludzi z kontynentu, ale i większość jego rodaków. Nie zmienia to faktu, że Vaughan-Williams jest wielkim muzykiem).

Od tej reguły na ogół nie ma wyjątków, a w każdym razie nie jest wyjątkiem José Iturbi, którego recital słyszeliśmy w dniu 4 marca w Royal Festival Hall.

Program obejmował Sonatę A-dur Schuberta (Op. 120), Sonatę H-moll Chopina, Wariacje Brahmsa na temat Kaprysu A-moll Paganiniego oraz w części drugiej trzy „obrazki" Albeniza ze zbiorku „Iberia" i parę drobniejszych utworów autorów hiszpańskich i jednego rumuńskiego, po których ma się wrażenie, że nieliczne, bardzo nieliczne konsonansowe akordy dostały się tam albo przez pomyłkę, albo wskutek jakiegoś niedopatrzenia autora.

Grę Iturbiego cechuje świetna technika.

Gdy się obserwuje ruchy rąk i zachowanie niektórych solistów podczas gry, odnosi się wrażenie, że to co grają jest dziecinnie łatwe. Nie ma tego wrażenia np. przy Giesekingu, za to jest dość silne przy Iturbim. Poza tym gra on w sposób przyjemnie chłodny. Nie znaczy to, że gra bez uczucia, ale że słuchanie jego gry nie męczy (bo też i nie zmusza do myślenia).

Sonata A-dur Schuberta Op. 120 jest jednym z jego dzieł nie specjalnie głębokich, ale nadzwyczaj miłych i melodyjnych. Jedyny bardziej istotny zarzut, jaki tu można Iturbiemu postawić, to te nieszczęsne rubata, bez których jednak Schubert zupełnie szczęśliwie może się obyć.

Za to Sonata H-moll Chopina, jedno z jego najlepszych dzieł, zawiera muzykę bardzo wysokiego gatunku. Jest to jeden z tych niebezpiecznych utworów, w których (jak często to bywa z Mozartem!) można zupełnie bezwiednie prześliznąć się nad całą głęboką podbudową i zauważyć tylko lżejszą zewnętrzną powłokę. Niestety, to jest właśnie dokładnie to, co wydarzyło się Iturbiemu. Poza tym cieniowanie zupełnie dobre miejscami, pozostawiało wiele do życzenia gdzie indziej. Również w ostatniej części brakowało równowagi. Przy jego technice może to być tylko wadą interpretacji.

Już z powyższych obserwacji można było przypuścić, że najdalszy od ideału będzie Brahms. I rzeczywiście. Ucho przyzwyczajone do niemieckiego wykonania nie mogło się z lekkim ujęciem Iturbiego pogodzić.

Wieczór uratował dopiero Albeniz (grany na zakończenie). Wszystkie jego trzy „obrazki" z „Iberii" („Evocation", „El Albaicin" i „Fête-Dieu A Seville") były grane bardzo ładnie. Raz pewnie dlatego, że nie jest to muzyka specjalnie poważna, a po wtóre niewątpliwie dlatego, że i autor i odtwórca z jednego wyszli narodu. (Albeniz żył od r. 1860 do r. 1909).

Na bis większość szanujących się artystów gra niewiele i dobrze. Iturbi bisował wiele razy, grając sporo utworów Chopina, a każdy z nich gorzej niż poprzedni.

Reasumując, Iturbi gra przyjemnie i nie nużąco, ma bardzo dobre opanowanie instrumentu i nie jest złym muzykiem, ale głębsza myśl muzyczna wydaje się być dla niego zamknięta. Nadaje się raczej do repertuaru lżejszego. Albeniza słuchałby z rozkoszą do rana.

B. G.

FILM

„SEDNO SPRAWY"

Do licznych filmów nakręconych według powieści i opowieści Grahama Greene'a — by wymienić tylko najwybitniejsze: **Fallen Idol, Third Man** i **Brighton Rock** — przybyło ostatnio dzieło wielkiej miary. Jest nim **The Heart of the Matter** — film uznany w grudniu ub.r. za najlepszy obraz miesiąca przez śmietankę krytyków brytyjskich, zgrupowanych przy Brytyjskim Instytucie Filmowym.

Choć przypuszczam, że większość czytelników ŻYCIA zna wielką powieść Greene'a pod tym samym tytułem, muszę przypomnieć jej treść i problem choćby dlatego, aby zająć się różnicami między filmem i jego literackim pierwowzorem. Tłem powieści jest kolonia brytyjska w Afryce, której autor umyślnie nie określa z nazwy, aby zasugerować powszechność pokazanego problemu. Czas: lata ostatniej wojny. Problem: zasadzki współczucia, które zżera majora policji Scobiego i zamiast prowadzić go coraz wyżej po ścieżce cnoty i duchowego doskonalenia — powoduje stopniowy upadek moralny i wreszcie śmierć samobójczą głównego bohatera. Major Scobie, wierzący i praktykujący katolik, pokazany jest na początku powieści jako wzorowy oficer policji i jako dobry mąż shisteryzowanej i pustej Luizy. Dawna miłość, która związała to stadło, już zwietrzała, a raczej przemieniła się w sercu Scobiego w poczucie odpowiedzialności za los i szczęście Luizy, słowem w mieszaninę litości i współczucia. Molestowany przez żonę, która chce koniecznie opuścić nudną i zbyt bliską terenu wojny kolonię i schronić się do Kapsztadu, Scobie pożycza pieniądze na podróż Luizy od podejrzanego o przemyt diamentów kupca Jussufa. W czasie nieobecności małżonki poznaje uratowaną z zatopionego przez Niemców statku młodą wdowę Helenę Rolt. Współczucie dla nieszczęśliwej i osamotnionej kobiety wplątuje go w romans z Heleną. Dramat zagęszcza się w związku z powrotem zazdrosnej, podejrzewającej zdradę Luizy. Scobie wpada w pułapkę rozdwojonego współczucia. Nie kocha żadnej z kobiet dość ślepo i egoistycznie, aby zerwać z jedną dla drugiej. Porzucenie żony wydaje mu się niemożliwe jako wierzącemu katolikowi, a przeciw zerwaniu z Heleną buntuje się w nim poczucie odpowiedzialności za osieroconą i bezradną kobietę. Brnąc w sprzecznościach podwójnej lojalności popełnia świętokradztwo przyjmując Komunię świętą w stanie grzechu śmiertelnego. W końcu, wmówiwszy sobie, że tylko usunięcie się jego samego może zapewnić szczęście obu kobietom, popełnia samobójstwo ofiarowując zbawienie własnej duszy w zamian za spokój i zbawienie Luizy i Heleny. Umiera modląc się żarliwie i wyznając Bogu swą miłość. Powieść kończy się ironicznymi wzmiankami autora, z których jasno wynika, że ani histeryczka Luiza, ani prymityw moralny Helena nie były godne ofiary Scobiego — i uwagą jego proboszcza i spowiednika, że samobójca był jednak dobrym chrześcijaninem, uwagą, która implikuje nadzieję na zbawienie jego duszy.

Jak widać z powyższego streszczenia, problem współczucia i litości, przewijający się przez wszystkie niemal utwory Greene'a, został w **Sednie sprawy** postawiony ostro i analitycznie, bez żadnych ułatwień i tanich pedagogicznych tendencji. Celem autora nie była żadna apologia, ani apologetyka cnót moralnych, lecz odsłonięcie jednego z trudniejszych zagadnień katolicyzmu: pokazanie, że nawet miłość bliźniego kryje w sobie zasadzki, że także cnota współczucia może przywieść chrześcijanina do przepaści. A może tylko nad jej krawędź? Może Boskie miłosierdzie chroni zbłąkanego, lecz czystego w intencjach grzesznika przed wiecznym potępieniem? Na próżno usiłowalibyśmy odpowiedzieć na to pytanie na zasadzie tekstu powieści Greene'a. Jak każde wielkie dzieło sztuki jest ona wieloznaczna i dopuszcza wiele interpretacji. Dlatego **Sedno sprawy** (a może należałoby mówić „Sedno rzeczy"?) stało się przedmiotem namiętnych dyskusji i licznych kontrowersji, a nawet restrykcji lokalnych władz kościelnych w niektórych krajach. Nie spowoduje ich, a w każdym razie nie powinien wywołać film, przerobiony przez scenarzystę Lesley Storma z trudnego i głębokiego dzieła katolickiego pisarza.

Filmowe **Sedno sprawy** nie jest bowiem wiernym przeniesieniem powieści w medium kinematografii. W filmie nie pokazano do dna całego problemu. Film został, że tak powiem **zmaurakizowany**, gdyż w ostatniej chwili interweniuje Łaska, jak to dzieje się we wszystkich powieściach Mauriaca. Scobie umiera, ale nie popełnia samobójstwa. Załatwiono tę sprawę zręcznie i wysoce artystycznie, zamykając za jednym zamachem formalną kompozycję filmu piękną ramą podobnych do siebie sekwencji: początkowej i końcowej.*)

Film zaczyna się objazdem służbowym Scobiego w dzielnicy portowej stolicy kolonii Sierra Leone (film bowiem wyraźnie precyzuje miejsce akcji i daje bogatsze i ciekawsze tło, niż powieść), w czasie której bohater główny natyka się na częstą w dokach scenę porachunków osobistych między mętami portowymi. Usiłuje interweniować, ale za późno: ciało napadniętego i zmasakrowanego Murzyna zostało już wrzucone do stromego ścieku. Zsuwa się z błyskawiczną szybkością i gdy Scobie nadbiega, u kraty zamykającej ściek znajduje już tylko trupa. Analogiczna scena zamyka film. Scobie postanawia odebrać sobie życie wystrzałem z rewolweru w czasie objazdu i w ten sposób upozorować śmierć na służbie. Ale interweniuje Opatrzność. Oto powtarza się początkowa scena: znów mamy bójkę krajowców, znów Scobie — z nałogu policjanta — usiłuje jej zapobiec, ale tym razem on zostaje pobity i wrzucony do złowieszczego ścieku. Gdy nadbiega wierny służący Ali (który nb. w powieści został zabity wcześniej z winy samego Scobiego) Scobie żyje jeszcze. Ostatnim tchnieniem wyraża wdzięczność, że Bóg nie dopuścił do samobójstwa i w ten sposób ocalił go od potępienia.

Reżyseria filmu jest znakomita, a kreacja Trevora Howarda, któremu powierzono rolę Scobiego, sięga szczytów aktorstwa. Już pierwsze pojawienie się jego na ekranie — z udręczoną twarzą człowieka, który wie, że gdybyśmy znali całą sprawę, to „trzeba by współczuć nawet kamieniom" — stawia z miejsca rolę. Jest ona wytrzymana i wzbogacona do końca. Bardzo dobrze wywiązała się ze swego zadania aktorka austriacka Maria Schell w ciepło ujętej roli niezbyt mądrej, ale pełnej wdzięku Heleny. Pewien zawód sprawiła mi Elizabeth Allan jako Luiza — na zasadzie powieści wyobrażałem ją sobie znacznie bardziej antypatyczną. Role drugoplanowe są na ogół zagrane dobrze, choć Jussuf w powieści wydaje się bardziej plastyczny. W filmie zrobiono z niego dość przeciętnego kombinatora, gdy w powieści odczułem go jako bardzo żywe upostaciowanie szatana.

Sumując wrażenia z lektury i filmu trudno powiedzieć, które z dzieł jest „lepsze". Utwór literacki daje katolikowi niewątpliwie głębsze przeżycie i bardziej pobudza do myślenia. Ale film jest bliższy zrozumieniu szerokich mas (zwłaszcza pogańskich i innowierczych) i bardziej pedagogiczny. Rozpatrywany w oderwaniu od literackiego pierwowzoru jest dziełem wybitnym, przerastającym wszystkie filmy brytyjskie ostatnich paru lat. Każdy miłośnik sztuki filmowej powinien go obejrzeć.

St. Pal.

*) Ponieważ spotkałem się ze strony niektórych czytelników z niezrozumieniem pojęcia sekwencji filmowej, wyjaśniam, że wyrazu „sekwencja" w krytyce używa się powszechnie na oznaczenie pewnej filmowej jednostki wizualno-dźwiękowo-czasowej (lub wizualno-czasowej w filmach niemych), stanowiącej analogię do zdania (albo okresu) w prozie artystycznej. Jest to następstwo kilku, czy kilkunastu (czasem nawet kilkudziesięciu) obrazów (i odpowiadających im klatek taśmy filmowej i dźwiękowej) — zgrupowanych wokół jednego tematu, a zarazem obrazu albo motywu dźwiękowego. Tak np. „sekwencja schodów" w arcydziele Eisensteina „Pancernik Potemkin", to genialne następstwo licznych obrazów ruchomych, dziejących się na wielkich marmurowych schodach ulicznych w Odessie w czasie ataku wojska na zrewolucjonizowany tłum. Schody są szkieletem, na którym zbudował Eisenstein swoją wielką sekwencję — czyli w tym wypadku okres języka filmowego.

POGADANKI JĘZYKOWE

„NOWA" PISOWNIA

Zastanawiałem się, czy warto sprawę obowiązującej obecnie pisowni poruszać w „Pogadankach językowych". Bo ortografia nie jest w ścisłym tego słowa znaczeniu zagadnieniem językowym: jest to tylko zbiór reguł, dotyczących znaków graficznych na oznaczenie dźwięków mowy. Gdyby Anglicy zreformowali w rozsądny sposób skomplikowaną pisownię swego języka, nie naruszając jego fonetyki, nie zmieniliby go ani o jotę. Ale mimo wszystko są pewne aspekty pisowni, zwłaszcza obecnie panującej w polszczyźnie, które nie pozostają bez wpływu na nasz język. Zobaczymy to za chwilę.

Dziwna rzecz! Uchwalono tę teraźniejszą pisownię w r. 1936, liczy więc ona sobie już 18 wiosen. A mimo to ciągle jeszcze uchodzi za „nową pisownię". Przyczyna leży w tym, że nie zdołała się całkowicie przyswoić i wiele osób, nawet ludzi pióra, nie potrafiło jej opanować w zupełności. Z tego wynika, że nie zdała egzaminu. Jej poprzedniczka, uchwalona w r. 1918, przyjęła się w stosunkowo krótkim czasie i rychło przestała być „nową pisownią".

Gdzie jest jej pięta Achillesowa — a raczej kilka pięt?

Najpierw sprawa zniesienia różnic w zakończeniach narzędnika i miejscownika: przed r. 1936 „dobrym chłopcem", ale „dobrem dzieckiem" i „dobrymi chłopcami", ale „dobremi dziećmi", obecnie zaś tylko „dobrym" i „dobrymi". Otóż jakkolwiek reforma ta nie jest pozbawiona uzasadnienia historyczno-językowego, była ona czymś więcej niż nieszkodliwą konwencją pisarską. Wpłynęła na wymowę. Jak długo pisaliśmy „poczem", „przyczem", „przytem" i „pozatem", w wyrazach tych dźwięczało raczej **e** niż **y**. Odkąd zaś ustalono pisownię „po czym", „przy czym", „przy tym" i „poza tym", wymowa **y** zaczęła się utrwalać, zwłaszcza wśród młodego pokolenia. Jest rzeczą znamienną, że sami reformatorzy cofnęli się przed podobnym potraktowaniem wyrazów „przedtem" i „potem", a przecież wymowa ich jest analogiczna do „przytem" i „pozatem". Podobnie nielogicznie cofnięto się przed „Zakopanym" i „Skolim". A jak wyglądałby rym w znanym wierszu Maurycego Gosławskiego, gdyby zgodnie z obecną pisownią napisał:

„Skrzydłem orlim lub sokolim
Unosić się nad Podolem..."

Tym jednak, co sprawia, że dzisiaj naprawdę trudno jest pisać po polsku bez podręcznika ortografii, jest niebywały chaos, wprowadzony w pisaniu łącznym i rozdzielnym grup wyrazowych. Jako zasadę przyjęto pisanie rozłączne i posunięto się w jej zastosowaniu tak daleko, że postanowiono pisać zawsze rozdzielnie „z góry", gdy przedtem, rozsądnie rozróżniając znaczenie, pisane „z góry" (na dół) jechać", ale „zgóry" (tj. przed kupnem) płacić". Podobnie rozłączne „nie ma" oznacza dzisiaj zarówno „on nie posiada" jak nieosobowe „nie ma" (np.) deszczu (dawniej „niema").

Gdybyż jednak ta zasada rozdzielności była wprowadzona konsekwentnie! Wiedzielibyśmy przynajmniej, czego się trzymać. Ale z dziwną jakąś przekorą dopuszczono tyle wypadków pisania łącznego, że powstało zupełne zamieszanie. Kto zrozumie i zapamięta, że „na pewno" pisze się osobno, ale „nadaremnie" razem i że „na wskroś", ale „nawzajem"; że „na głos", ale „naprawdę"; że „po cichu" i „po kryjomu", ale „pomału" i „powoli"; że „z rzadka", ale „zwolna"; że „z dawna" i „z wewnątrz", ale „spod" i „spośród"... Albo taki węzeł gordyjski: należy pisać „zza" i „zagranica", ale „za granicą"; ale wobec tego czy „z zagranicy" czy „zza granicy", czy może „z za granicy"? Tajemnica.

Nie będę się rozwodził nad innymi osobliwościami obecnej pisowni, np. w zakresie interpunkcji. Kto zgadnie, dlaczego równoważników zdań, wyrażonych przez zwrot z imiesłowem na -ąc i -szy, nie odcina się przecinkami, podczas gdy równoważniki zdań, wyrażone inaczej, są oddzielone przecinkami? (Ale i od tej zasady są wyjątki). Kto będzie zbudowany dokładnością przepisów np. w dziedzinie pisowni nazwisk obcych, gdzie „Odysseus" ma być raz „Odyssejem" lub „Odysem" (str. 48 wydania londyńskiego „Pisowni polskiej"), drugi raz „Odysseuszem" (str. 47), a jeszcze kiedy indziej „Odyseuszem" (str. 115)!

Oczywiście — nic na to nie poradzimy. Nie będziemy przecież na emigracji reformować polskiej pisowni. A przestrzegać jej trzeba, gdyż inaczej powstałaby już zupełna anarchia. Lepsza z dwojga złego ta mniejsza, spowodowana „nową pisownią".

Wig.

Listy

SIENKIEWICZ JAKO WYCHOWAWCA

P. J. A. Maryański w 350 nrze ŻYCIA bierze w obronę Sienkiewicza przed autorem audycji „dyskwalifikującej twórcę Trylogii jako wychowawcę" i stawia pytanie, bodajże retoryczne: „Cóż wobec tego zalecić młodzieży krajowej jako remedium przeciw jadowi rzeczywistości?"

Podobnie, choć głębiej i wymowniej, broni wartości wychowawczych dzieł Sienkiewicza o. Bocheński w swych „Szkicach etycznych".

Trudno zaprzeczyć, że Sienkiewicz, dający czytelnikowi pewien ideał etyczny w ogromnie pociągającej wyobraźnię postaci — jest, jak mało który inny pisarz, zdolny do silnego oddziaływania wychowawczego. Nasuwają się jednak dwa pytania: Czy tylko Sienkiewicz? Czy właśnie ideał etyczny Sienkiewicza jest najgodniejszy zalecania?

Spór o Sienkiewicza jako wychowawcę ma swoją długą historię, w ciągu której nieraz już padły przeczące odpowiedzi na oba te pytania. Niełatwo dziś podważyć zdanie, że Mickiewicz, Orzeszkowa, Prus, Wyspiański, Norwid, Brzozowski, Conrad... i siłą wyrazu i wysokością ideału etycznego nie ustępują Sienkiewiczowi a przewyższają go poczuciem złożoności, zawiłości, tragizmu doli człowieczej. Że świat Sienkiewicza ma w sobie wiele z baśni, a próba wcielania jej w życie może mieć skutki czasem śmieszne, czasem wręcz złowrogie.

Nieraz zwracano uwagę, że najbardziej malowniczy bohaterowie Sienkiewicza, najsilniej pociągający młodą wyobraźnię — uosabiają ideał etyczny nader wątpliwy. Petroniusz, Jarema, Kmicic mniej godni są naśladowania niż szary na pozór bohater „Tajfunu" lub nawet wzniośle śmieszny Rzecki. Sienkiewicz znakomicie pobudza apetyt na wielkie, niecodzienne, fotogeniczne cnoty, życie jednak najczęściej wymaga cnót drobnych, zwyczajnych i nieefektownych, a wielkim, bohaterskim — rzadko daje piękne ramy.

Michał Sambor

REKOLEKCJE DLA PAŃ W LONDYNIE

Rekolekcje zamknięte odbędą się w Cenacle Convent Hampstead N. W. 3 w dniach 6 — 9 kwietnia dla pań oraz 9 — 12 kwietnia dla studentek.

Prowadzi benedyktyn, ojciec Karol van Oost.

Informacje i zapisy tel.: LAD 3629 (5 — 7 wieczorem), albo listownie: Koło Pań „Veritas" 5, Keslake Rd., N. W. 6.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno-Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godz. 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6 d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. WPŁATY: a) **w krajach bloku szterlingowego:** — Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** — International Money Orderem lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego. c) **we wszystkich innych krajach:** — do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1.0.0, w tekście - 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: Przedstawiciel — **„Libreria Polaca"**, Av. Leandro. Alem 641, Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciele: **„Vistula" (Australia) Pty. Ltd.**, 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 85, Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide, S. A.; BELGIA: Przedstawiciel — **E. Kułakowska**, 101, Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. — 90 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — **Z. Kietlińska**, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — **„Libella" Librairie**, 12, Rue St. Louis-en-l'Ile, Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — **P. M. K.**, Schorsmolenstraat 9, Breda. KANADA: Przedstawiciele — **Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, Western Ave., Montreal 6 oraz **International Book Service**, 57, Queen Street W., Toronto i **„Radegast"**, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man.; Prenumerata kwartalna $ 2.00; NIEMCY: Przedstawiciele: **S. Mikiciuk**, Seehammerstr 4, Bar. 16 B/2 (13B) München 54 oraz **„Informacja Prasowa"** — Postfach 86 (23) Quackenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM.; NORWEGIA: Przedstawiciel: **B. Łubiński**, Fagerturveien 14, Bestun, ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: **„Gryf Publications"** — 615, Henry Street, Utica N. Y. oraz **M. Kijowski** — 13171, McDougall, Detroit 12, Mich. oraz **J. Stojanowska, 424**, Ave „E", Bayonne N. Jersey, oraz **„Pomoc" — Export Import** — 761, Fillmore Ave, Buffalo 12,, N.Y. Prenumerata kwartalna $ 2.00. SZWAJCARIA: **Mgr. A. Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna Frs. 5.00. SZWECJA: Przedstawiciel: **Mgr. B. Kurowski** — Lund, Revingegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 Kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: **Mme. Z. Bulhak-Jelska** — via Salaria 300/c, Roma.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734.